COLA RIENZI

DRAMAT HISTORYCZNY
Z XIV WIEKU

W PIĘCIU AKTACH PROZĄ
ORYGINALNIE NAPISANY

1914

COLA RIENZI

COLA RIENZI

DRAMAT HISTORYCZNY
Z XIV WIEKU.

W PIĘCIU AKTACH PROZĄ
ORYGINALNIE NAPISANY.

1913

OSOBY:

COLA RIENZI.
PAOLA, *jego żona.*
BIANCA, *jego siostra.*
LOCCIOLO, *jego krewny.*
PANDOLFO di GUIDO.
CECCO del VECCHIA.
BERTRAND di DEUCIO, *kardynał legat.*
MANCINO.
GUALLATO.
ANDRZEJ COLONNA.
STEFAN COLONNA.
AGATA, BEPPO, LIPPO, } *Mieszczanie.*
GIANNI GUCCIO.
I-szy poseł z Perugii.
2-gi poseł.
ZBROJNI COLLONNÓW.
HEROLDOWIE.

STRAŻE, SPRZYSIĘŻENI, DZIEWICE, MIESZCZANIE, LUD.

BIANCA (*przestraszona chowa się za Paolę*).

PAOLA (*zwracając się do Stefana*). Jeszcze raz zaklinam was, pozwólcie nam odejść w spokoju. Nie jest to rzeczą godną tak szlachetnych rycerzy zatrzymywać gwałtem uczciwe kobiety.

STEFAN (*do Andrzeja*). Puść je, Andrzeju!

ANDRZEJ. Śmieszny jesteś, mój drogi, puszczać z rąk taką zdobycz! Chyba rozum straciłeś?

BIANCA (*przystępując do Stefana*). Panie przeczuwam, że masz szlachetne serce: ulituj się nad nami i broń nas przed swoim towarzyszem.

STEFAN. Uspokój się pani: nie zdradzę położonego we mnie zaufania. Ręczę honorem, że wam się nic złego nie stanie.

ANDRZEJ (*do Stefana*). Zalecasz się do tej; widzisz, jestem zgodny: zostawiam ci wolny wybór i udaję się do drugiej (*postępuje do Paoli z wyciągniętemi rękami*). Pozwól mi się na wstępie ucałować, moja ty śliczna.

PAOLA (*wyjmując sztylet i podnosząc go w górę*). Ani kroku naprzód, bo zginiesz!

STEFAN. Andrzeju, daj pokój.

ANDRZEJ (*cofając się*). A to prawdziwa żmijka, pokazała żądełko. Któżby się był tego spodziewał po tych różanych usteczkach!

STEFAN (*do Andrzeja*). Andrzeju, proszę cię, nie rób nowych awantur; dość i tak już obwiniają nasze domy, kładąc na karb wszystko, co się kiedy stanie.

ANDRZEJ. A co mnie tam obchodzi, że głupi motłoch wrzeszczy! (*zbliżając się z zapytaniem do zbrojnych*) Czy nie wiecie czasem, kto ą te kobiety?

JEDEN ZE ZBROJNYCH. Ja je znam z widzenia; jest to żona i siostra Rienzego.

ANDRZEJ (*do Stefana*). Widzisz, jaka niespodziewana gratka sama nam w ręce wpadła! Prawdziwie kosztowna zdobycz; już to ja mam nos wyżła (*z komicznem oburzeniem*), a ty chciałbyś je puścić. (*do zbrojnych*). Bierzcie te kobiety.

PAOLA (*ze sztyletem*). Kto przystąpi, zginie!— Tak, jestem żoną Rienzego i nie weźmiecie mnie żywą.

STEFAN (*do zbrojnych*). Nie ważcie się przystępować do tych kobiet: niech odejdą spokojnie.

ANDRZEJ (*do Stefana*). Zwaryowałeś, wyraźnie zwaryowałeś! wypuszczać żonę i siostrę Rienzego! Lepszych zakładników , a w dodatku piękniejszych i milszych, znaleźć-by niepodobna (*wydziera się naprzód, Stefan go odpycha wtył*).

wszystko dla jednej myśli, w chwili stanowczej, gdy przychodzi myśl w czyn zamienić, przestraszyłeś się, nie wielkości niebezpieczeństw, bo do tego jesteś niezdolnym, lecz wielkości swojego zadania.

GUIDO. Posłuchaj mnie, Rienzi; nie chcę nic ukrywać przed tobą; przypuszczenie takie nie byłoby zupełnie bezzasadnem.

RIENZI. Jakto? co mówisz?

GUIDO. Jest to niezawodnie słabością z mej strony i wstydzę się jej przed tobą, ale dziś, wobec tej niewiadomej przyszłości, której zasłonę rozedrzeć mamy za chwilę, wobec tego wielkiego przewrotu, którego sprawcami będziemy — czuję się onieśmielonym i chwiejnym jak dziecko. Dopóki wspólnie z tobą rozpamiętując wielką przeszłość Rzymu i jego teraźniejszą nędzę i poniżenie, przemyśliwaliśmy nad sposobami podźwignięcia go z upadku, dopóki budziliśmy w ludzkie poczucie jego praw i godności, dopóki marzyliśmy nawet o gwałtownej przemianie obecnych stosunków jako o rzeczy idealnej i dalekiej,—dopóty wszystko mi się wydawało jasne, pewne i niezakłócone żadnym cieniem wątpliwości. Lecz oto teraz, gdy upragniony przez nas ideal przybiera już dotykalne kształty, nasuwa mi się straszne pytanie: czy jutrzejszy porządek będzie o tyle lepszym od poprzedniego, aby mógł usprawiedliwić nasz zamach? i czy ten lud, cośmy za sobą porwali, nie zwróci się prze-

ciw nam z okrzykiem: po co rozbudziliście nadzieję, której urzeczywistnić nie możecie!?

RIENZI (*z rozdrażnieniem*). Nie na czasie są twe wątpliwości. Trzeba się było zastanowić wtedy, gdyśmy rozpoczynali stąpać po tej drodze, która zarówno wiedzie do Kapitolu, jak i do Tarpejskiej Skały.

GUIDO. Mówisz tak do mnie, jakbyś się gniewał za otwartość moją.

RIENZI (*miarkując się*). Nie umiałbym się gniewać na ciebie... Ale przyznaj sam, że, gdyby ludzie mieli się powodować podobną twojej drażliwością i badać zbyt skrupulatnie następstwa każdego czynu, to czyżby możliwem było dokonanie jakiego wiekopomnego dzieła i czyżby się nie trzeba było wyrzec z góry każdego przedsięwzięcia, chociażby miało przynieść szczęście całemu światu!

GUIDO. Masz słuszność, bezwątpienia, a jednak...

RIENZI (*przerywając*). Nie poznaję dzisiaj ciebie wcale, który przez lat tyle byłeś drugą połową mej duszy, drugą połową mojego sumienia. Dzieliłeś ze mną wszystkie myśli i uczucia, wszystkie trudy i niebezpieczeństwa, a nigdy cień różnicy nie powstał w naszych przekonaniach. Ileż-to razy, patrząc na bezprawia i gwałty możnych, na nędzę i zbydlęcenie ludu na niemoc i poniżenie kraju, w szlachetnem oburzeniu wzywaliśmy sądu i pomsty! Ileż-to razy

potem, odtwarzając sobie w marzeniach nową erę wolności, szczęścia i chwały, wołaliśmy wspólnie w zachwycie: O! taką promienną przyszłość warto okupić kosztem całego życia, kosztem własnego zbawienia, kosztem chociażby... zbrodni! I szliśmy dalej razem, przygotowując wielkie dzieło odrodzenia. A oto dziś, gdy nam potrzeba już tylko jednego gwałtownego wysilenia, jednej wznieconej burzy, aby dojść, jeżeli nie padniem w zawierusze, do świętych naszych celów, jakaż wątpliwość może nam stawać na drodze? Czyż się zmieniły stosunki na lepsze? Czyż się poprawił byt kraju o tyle, aby nasze wdanie się w jego sprawy było już zbytecznem? O nie! po tysiąc razy nie! Gorzej niż kiedykolwiek sroży się bezrząd i bezprawie. Panowie nasi, wierni odziedziczonym tradycyom, utrzymują nieład i rozprzężenie, poświęcając zawsze dobro publiczne osobistym widokom i nienawiściom. Lud ciemny i uciemiężony, pozbawiony nawet wspomnień swojej wielkiej przeszłości; samo imię Rzymianina stało się dziś jednoznacznem z imieniem niewolnika. Wymazani jesteśmy z ksiąg żyjących narodów i okryci pogardą i szyderstwem; konamy w zgniliznie i zepsuciu, nie mogąc umrzeć jeszcze.

GUIDO (*chwytając go za rękę*). O, mów tak dłużej Rienzi! potrzeba mi całej potęgi słów twoich do ożywienia słabnącej we mnie wiary w prawność i konieczność naszego kroku. Ty, jesteś szczęśliwszym odemnie. Posiadasz nie-

zachwianą ufność w siebie i w swoje posłannictwo, idziesz śmiało z podniesioną głową do celu wierząc, że każdy czyn twój jest koniecznym, godziwym i szlachetnym przez to samo, iż ty go dokonywasz.

RIENZI. Bo tak być powinno! Inaczej czyżby się można było puszczać po przepaścistej drodze czynów, gdzie nieraz przychodzi się spotykać z smutną ostatecznością spychania innych w otchłań, ażeby samemu przez nich nie zostać strąconym? Zbyt drażliwe sumienia mają to do siebie, że jakkkolwiek zdolne są powziąść myśl wielką i szczytną, gdy idzie o jej przeprowadzenie, zatrzymują się w połowie drogi, przestraszone własnem zuchwalstwem i, nie umieją ani pójść naprzód ani się cofnąć, usychają jak Tantal w bezowocnych pragnieniach.

Pomyśl tylko, w jakiej ty sam teraz zostajesz sprzeczności: pójść ze mną wahasz się i trwożysz, pozostać obojętnym świadkiem nie zechcesz, a zatrzymać mię także nie jesteś w stanie, bo, przysięgam ci, z tobą czy bez ciebie, dziś jeszcze albo zginę, albo cały Rzym muszę mieć w mojem ręku!

GUIDO (*z zapałem*). Ze mną, ze mną, Rienzi! Pomimo wszystkich wątpliwości, które ci odsłoniłem, ani na chwilę nie powstała w mojej głowie taka myśl, żeby ciebie opuścić.

Jeszcze w pierwszej młodości przysięgliśmy sobie wzajemnie braterstwo, więc ci dzisiaj odnawiam tę moją przysięgę.

RIENZI (*ściskając go za rękę*). Szlachetny, drogi bracie, bez twego wsparcia, bez twego serca, nie byłbym tem, czem jestem. Z tobą razem czuję się niezwyciężonym.

GUIDO. Jeszcze jedno, ostatnie słowo: przyrzecz mi, dla spokoju mojego, że jakiekolwiek będą koleje twojego wyniesienia, nigdy nie zechcesz się uważać wyższym nad prawo i nad moralność powszechną. Najwięksi bowiem ludzie zgotowali już nieraz sobie i swoim ideom upadek, gwałcąc w zaślepieniu to, czego nikomu bezkarnie pogwałcić nie można.

RIENZI. Nielogicznym jesteś, mój Guido. Jeżeli mi ufasz, przyrzeczenie moje będzie zbytecznem, jeżeli zaś nie, na cóż się przydać może? Zresztą dla czegóż nie chcesz, jak cię o to tyle razy prosiłem, podzielić się ze mną władzą?

GUIDO. Bo władza nie powinna się nigdy dzielić. A przytem nie jestem człowiekiem czynu.

RIENZI. Oto nadchodzi mój Locciolo i główni przywódzcy sprzysiężenia. Czas działać.

(*Wchodzą Locciolo, Cecco del Vecchia, hrabia Mancino, Guallato i paru innych sprzysiężonych*).

SCENA II.

Rienzi, Guido, Locciolo, Mancino, Guallato i reszta sprzysiężonych.

RIENZI. Co mi powiesz, Locciolo?

LOCCIOLO. Stosownie do twoich poleceń w kościele św. Anioła odprawia się trzydzieści mszy jedne po drugich. Lud wypełnił kościół i plac przyległy.

RIENZI. Cecco! dowiedziałeś się co nowego o ruchach Colonnów, Orsinich i reszty naszych wrogów?

CECCO. Nic nowego nie zaszło. Wszyscy, tak samo jak dawniej, razem ze swymi zbrojnymi są dość daleko po za Rzymem. W mieście uwijają się tylko dwaj z nich: młodszy, Stefan, i Andrzej Colonna, któremu-to ostatniemu inni powierzyli czuwanie nad bezpieczeństwem Rzymu. On też czuwa po swojemu. Wszędzie go pełno, w każdej winiarni, w każdym szynku. Przebiega na pół pijany ulice, znieważa przechodniów, zaczepia dziewczyny. A jego żołnierze naśladują pana: upijają się i rozbijają na własną rękę. Ci wszyscy ani pisną.

GUALLATO (*przystępując do Rienzego*). Znaczna część ludu zebrana jest w Colosseum. Wszyscy bez broni, tak jak chciałeś. Chorągwie do uroczystego pochodu są przygotowane.

MANCINO (*przystępując do Guida*). Cała sprzyjająca naszej sprawie szlachta i znakomitsi mieszczanie, uzbrojeni zupełnie i z końmi w pogotowiu, czekają dalszych rozporządzeń.

RIENZI. To wszystko dobrze. Teraz posłuchajcie mię co nam czynić wypada. (*do Mancina*). Ty, panie hrabio, obsadzisz połową swojego rycerstwa wszystkie bramy miasta i, poleciwszy im czujność, powrócisz sam tutaj na plac Kapitolu połączyć się z nami, na dowód, że nie działamy w imię jednego stronnictwa, ale w imię całego narodu. (*zwraca się do Guida*) Guido zresztą rycerstwa rozbroi straże Colonny i będzie się starał utrzymywać wzorowy porządek w mieście, zapobiegając wszelkiemu gwałtowi i nadużyciu. (*zwracając się do jednego ze sprzysiężonych*) Ty, Stefanello, każesz bić w dzwony po wszystkich kościołach, (*zwraca się do dwóch następnych*) Wy zgromadzicie moich wiernych Trawesteweran: niech staną w pogotowości na wszelki przypadek na placu przed kościołem. (*do Guallata*). Ty, Guallato, udasz się do Colosseum i, przemówiwszy do ludu, zapytasz się go: czy pragnie zrzucić jarzmo możnowładzców i na kogo zamierza przelać swoją władzę? W razie pomyślnym rozwiniesz chorągiew wolności i udasz się na spotkanie nasze. (*zwracając się do Cecca i Locciola*) Wy zaś, Locciolo i Cecco, pójdziecie razem ze mną na mszę do Świętego Anioła

(*Guido i sprzysiężeni odchodzą, pozostają tylko Rienzi, Locciolo i Cecco, wbiegają Paola i Bianca*).

SCENA III.

Rienzi, Cecco, Locciolo, Paola, Bianca.

PAOLA (*biegnąc do Rienzego*). O, mój mężu! (*rzuca mu się na szyję*).

BIANCA (*podobnież*). O, mój bracie!

PAOLA. Co za szczęście, że cię tu zastajemy!

BIANCA. Od dwóch godzin szukamy cię wszędzie...

PAOLA. W najwyższej trwodze o twoje bezpieczeństwo.

RIENZI (*surowo*). Po co tu przychodzicie, kiedy wam poleciłem pozostać cały dzień w domu.

PAOLA. Rienzi, ty nic nie wiesz: życie twoje jest zagrożone.

BIANCA. Przybiegłyśmy cię ostrzedz...

PAOLA. I skłonić, abyś się ukrył.

RIENZI. Źleście zrobiły, żeście przełamały mój zakaz, dla płonnych przywidzeń.

BIANCA. To nie są wcale przywidzenia, mój bracie.

PAOLA. Jesteś niesprawiedliwym, Rienzi! Jakto? więc twoja żona i siostra mają spokoj-

nie wyczekiwać w domu, gdy chodzi o twoją śmierć i życie?

RIENZI. A zatem mówcie: co takiego? tylko prędzej, bo nie mam wiele czasu do stracenia.

PAOLA. Otóż przed paru godzinami wpadła do nas zadyszana Giovanna...

BIANCA. Ta dobra staruszka, która ma sklep z winem na rogu naszej ulicy...

PAOLA. A która ma nieograniczone uwielbienie dla ciebie od czasu, jak ją wyrwałeś z rąk złoczyńców.

RIENZI. Co dalej?... co dalej?....

PAOLA. Mówiła nam wystraszona, że od samego rana przyszli do niej na wino, jacyś podejrzani ludzie. Jeden z nich, który ugaszczał innych, był, jak powiada, znanym zbirem Andrzeja Colonny; to zwróciło jej uwagę i zaczęła pilniej uważać na ich ruchy. Wkrótce podpili sobie doskonale i żywszemi się stały ich rozmowy i giestykulacye. Wówczas ów zbir Colonny wydobył z kieszeni garść złota i pokazywał ją towarzyszom, mówiąc:—Każdy z was może sobie tyle zarobić. Na to inni szemrali: E, to niebezpieczna sprawa, lud gotów się pomścić śmierci jego. A ów zbir rozgniewany wykrzyknął: — Tchórze jesteście! Dopóki Rienzi żyje, to wszyscy szaleją za nim, ale jak mu wpakujem kawał żelaza pod żebra, to nikt o nim nie

wspomni. Zresztą Colonna przyrzeka nam bezpieczeństwo.

LOCCIOLO. O, łotry! skrytobójcy! jak spotkam którego Colonnę, to mu łeb pięścią roztrzaskam.

PAOLA (*ciągnąc dalej*). Potem były dalsze targi i szepty, i nastąpiła zgoda. Zbir dał każdemu po sztuce złota, powtarzając przy wyjściu: "Tylko dzisiaj koniecznie." Widzisz więc, mężu, że miałyśmy słuszne powody szukać cię po mieście.

RIENZI. Wszystko to jeszcze może być tylko przywidzeniem owej dobrej staruszki; zresztą, będziemy się mieć na baczności: jestem dobrze uzbrojony.

PAOLA. Jakto, Rienzi, chciałbyś się narażać dalej, kiedy wiesz, co ci grozi?

RIENZI. Są obowiązki, przed któremi cofać się nie wolno.

PAOLA. A niczemże są w oczach twoich obowiązki względem żony i dziecka? Zaklinam cię na miłość naszą; wracaj do domu i ukryj się choć na dni kilka.

BIANCA. O, zrób to dla nas, bracie!

RIENZI. Nierozsądne jesteście jak dzieci. Puśćcie mnie, bo czas nagli: muszę iść na moje stanowisko.

PAOLA. O, Rienzi! Od czasu jak jestem twoją żoną, wszystkie kobiety zazdroszczą mi tego szczęścia, i ja też byłam dumną i szczęśliwą z twojej miłości. Ale szczęście to drogo mi przychodzi okupywać. Niema dnia, niema godziny, w którejbym nie drżała z obawy o los i życie twoje. Zrobi się jaki rozruch w mieście: już myślę tylko o tem, co się z tobą dzieje. Zabijają kogo na ulicy: przestrach ścina mi krew w żyłach, czy to nie ty padłeś ofiarą licznych wrogów twoich. Nie powrócisz do domu, jak to się czasem zdarza: we łzach trawię noc bezsenną, wystawiając sobie, że cię już porwano, uwięziono, lub zabito. Krótkie chwile radości, w których cię widzę, opłacam ciągłą męczarnią niepokoju. Jesteś wielki, szlachetny, wszyscy cię czczą i wielbią, ja więcej niż ktokolwiek; a jednak czuję z boleścią, że ty należysz do kraju, do ludu, do świata całego, lecz nie należysz do mnie, która cię kocha!

RIENZI. To są wyrzuty! Paolo! A przecież, oddając mi serce, wiedziałaś dobrze jakiemu zadaniu poświęciłem życie, wiedziałaś i pochwalałaś wszystko, com czynił i com czynić zamierzał.

PAOLA. Wiedziałam i pochwalałam, to prawda! alem przeceniła siły moje. We mnie niema materyału na bohaterkę. Dla was, mężczyzn, miłość jest podrzędną rzeczą; wy macie wielkie idee, macie pragnienia sławy, dumę, namiętności polityczne: gdy tymczasem u nas ko-

biet, wszystkie nasze cele, myśli, uczucia, cała nasza duma i namiętność gromadzą się około ukochanych przez nas istot. My chcemy tylko kochać i być kochanemi, a ani wolność ludu, ani wielkość narodu, nie zdolne nam są zastąpić straconego męża, syna, brata lub kochanka.

RIENZI. Uspokój się, Paolo, proszę cię! Nie stawaj mi na drodze, teraz, gdy mi potrzeba całego hartu i skupienia wszystkich myśli moich. Zobaczysz, wkrótce będę u kresu mojej drogi i nie będziesz więcej obawiać się o losy nasze. Do widzenia! (*całuje ją w czoło, Paola milczy*) Do widzenia, Bianko!

BIANCA. Niech cię Bóg prowadzi, mój bracie.

RIENZI. A wracajcie czemprędzej do domu. (*zwraca się do towarzyszy*) Locciolo i Cecco, chodźcie za mną.

CECCO. Zaraz was dogonię.

LOCCIOLO (*odchodząc, do Rienziego*). Z zakochanymi zawsze bieda: w najważniejszej chwili gotowi czas tracić na umizgi.

RIENZI. Trzeba mu pozwolić, pewny jestem, że nas dogoni (*odchodzi wraz z Locciolem*).

SCENA IV.

Paola, Bianca, Cecco.

(*Paola stoi w zamyśleniu, patrząc w stronę, gdzie odszedł Rienzi.—Cecco zbliża się do Bianki*).

CECCO. Nie mogłem odejść, nie pożegnawszy się z tobą, Bianko.

BIANCA (*z wyrzutem*). I dla tego nie poszedłeś razem z moim bratem? to źle, bardzo źle.

CECCO. O, Bianko! nie wyrzucaj mi tego; może to już nasze ostatnie widzenie.

BIANCA (*strwożoną*). Co mówisz? (*po chwili z uśmiechem*). Ach, zgaduję, chcesz mię rozbroić postrachem: nic z tego!

CECCO. Nie, Bianko, mówię poważnie; nie chciałbym cię straszyć napróżno. Dzisiaj nadeszła dla nas chwila stanowcza, a wypadku przewidzieć nie podobna. Kto może zaręczyć, czy wyjdziem zwycięsko, kto może przewidzieć; czy się obejdzie bez ofiar, i czy ja nie będę w ich liczbie? Możesz być pewną, że się nie cofnę przed żadnem niebezpieczeństwem, że własną piersią w razie potrzeby zasłonię twojego brata; ale, idąc na niepewne, chcę zaczerpnąć z ust twoich odwagi, chcę usłyszeć stanowczo, że mnie kochasz na prawdę.

BIANCA (*drażniąc się*). A gdybym ci powiedziała za karę, mój nazbyt ciekawy panie, że cię nie kocham, to i cóż?

CECCO. O! nie żartuj tak ze mną, Bianko, bo sam żart taki burzy już we mnie krew, jak u podrażnionego tygrysa. Ty nie znasz całej potęgi mojej namiętności dla ciebie, Ty nie znasz mojej dzikiej natury, która zdolna jedynie kochać lub nienawidzieć bez miary. Wiedz o tem, że jeżeli służę Rienzemu, jak pies wierny służy swojemu panu, to nie dla tego, żebym dzielił jego przekonania, to nie dlatego, żebym się powodował pragnieniem sławy, ale dla tego jedynie, że mi nagrodą będzie miłość twoja i że Rienzi przyrzekł mi ciebie za żonę. Zresztą, ja, tak jak Paola — nie mam zasad, nie mam przekonań, nie mam ambicyi, a jeśli jestem zdolny do ofiar i poświęceń, to tylko przez miłość dla ciebie. Ale czuję że gdybyś mnie przestała kochać, lub gdyby mi ciebie wydarto, to całe śpiące teraz piekło zbudziłoby się w mojej duszy—i byłbym zdolny wówczas do wszystkiego!

BIANCA. Jesteś tak strasznym, gdy to mówisz... ja się ciebie boję.

CECCO. Przebacz uniesieniu memu. Co ja winien, że odchodzę od zmysłów, patrząc na ciebie?

PAOLA. Na miłość Boga, Cecco, spiesz do Rienzego: wszak więcej niż kiedykolwiek potrzebuje wiernych przyjaciół przy sobie.

BIANCA. O, tak, pośpieszaj czemprędzej; mielibyśmy sobie do wyrzucenia, gdyby mu się co złego przytrafiło.

CECCO. Dobrze, ale powiedz mi, że mnie kochasz.

BIANCA. Jesteś dziś naprzykrzonym... ale kiedy to ma ci dodać odwagi, to powtórzę, co wiesz już doskonale... że ci z całego serca sprzyjam... (*Cecco całuje jej ręce*). No, tylko idź czuwać nad moim bratem. (*Cecco porywa ją wpół przyciska i całuje, poczem śpiesznie ucieka w stronę, gdzie odszedł Rienzi*).

BIANCA (*do Paoli*). Ten Cecco tak jest dziwny że nigdy nie wiem, co mam o nim myśleć. Gdy go długo nie widzę, tęskno mi za nim i radabym go ujrzeć czemprędzej, serce mi bije żywiej, gdy go spotykam, i jestem pewną, że mu prawdziwie sprzyjam; a jednak, gdy mi zacznie mówić o swojej miłości, to, nie wiem czemu, ale jakiś strach mię przejmuje — chciałabym wyrwać się i uciec.

PAOLA. To bardzo naturalne. Ty jesteś łagodna i nieśmiała; on—nadto namiętny i dziki: ulegasz więc jego wpływowi i obawiasz się go zarazem.

BIANCA. Zapewne, że jest w nim coś dzikiego, i chociaż zwykle umie pokrywać swoje wzruszenia, po niezwykłym blasku oka rozpoznać można, że coś tam kipi wewnątrz... i wten-

czas jest dla mnie straszniejszym, niż kiedy wybucha.

PAOLA. Ale on umie przynajmniej kochać! (*po chwili*) Chodźmy, trzeba nam wracać do domu. (*zabierają się ku wyjściu na lewo w przeciwną stronę, niż Rienzi, gdy wtem zachodzą im drogę, naprzód Andrzej Colonna, za nim Stefan Colonna i dwóch zbrojnych z ich orszaku*).

SCENA V.

Paola, Bianca, Andrzej Colonna, Stefan Colonna i Dwóch Zbrojnych.

ANDRZEJ (*dobrze podchmielony, postępując ku Paoli i Biance, które się z przestrachem cofają*). Gdzie to tak śpieszycie, piękne turkaweczki? Na honor, jakem Andrzej Colonna, dawno już nie widziałem tak pięknej zwierzyny (*przyglądając się im od stóp do głów*). Co za buzie, co za oczy, co za nóżki! Cóż u dyabła, żeby w Rzymie znajdowały się tak piękne kobietki i żebyśmy nic o nich nie wiedzieli... Co ty na to, Stefanie?,

PAOLA. Puśćcie nas, dostojni panowie, nam pilno wracać do domu.

ANDRZEJ. Ba! ba! ba! nie puścimy tak łatwo, musimy wprzód zabrać z sobą bliższą znajomość, To prawdziwy wstyd dla mnie, że was nie znałem dotąd (*przybliża się do Bianki*). Jak ci na imię, moja piękna?

AKT PIERWSZY.

Plac na Kapitolu—na środku posąg konny Marka Aureliusza; po obu stronach dwa pałace, niedochodzące wszakże do sceny i zostawiające przejścia w boczne uliczki; w głębi schody prowadzące na dół.

SCENA I.

Za podniesieniem zasłony Pandolfo di Guido stoi zamyślony przy posągu; z bocznej uliczki wchodzi Rienzi, zbliża się doń powoli i kładzie mu rękę na ramieniu.

GUIDO (*budząc się z zamyślenia*). To ty, Rienzi? Dobrze, że przybywasz; byłem już niespokojny o ciebie.

RIENZI. Dałem czekać na siebie, mój drogi Guido, ale nie moja w tem wina. Już przed godziną zdążałem tu na schadzkę naszą, gdy w tem zabiegł mi drogę mój krewny Locciolo, ostrzegając, że w pobliżu zebrała się część mieszczaństwa nieprzyjaźnie nam usposobiona. Nie mogłem się wahać: pobiegłem na miejsce zebrania i przemówiłem do nich. O, Guido, jakże to słodko doświadczyć, że prawda wydobywająca się z ust uczciwie myślącego człowieka ma moc

pokonywania wszystkich niechęci i uprzedzeń! Zanim skończyłem mówić, już przeciwnicy stali się naszymi stronnikami.

GUIDO. Zapewne, najpiękniejszy to tryumf, piękniejszy od wszystkich wymuszonych siłą oręża i okupionych krwią licznych ofiar.

RIENZI. Sądzę, że tak samo w dzisiejszem naszem przedsięwzięciu bez walki i bez krwi rozlewu zwyciężymy samą wielkością myśli, którą urzeczywistnić chcemy, a jeżeli nam się nie uda, to my tylko jedni padniemy ofiarą.
Czy z swojej strony wszystko przygotowałeś?

GUIDO. Wszystko; możesz polegać na mnie. Mancino stawi się tu wraz z innymi po dalsze rozkazy.

RIENZI. Nie znalazłeś żadnych przeszkód między swoimi?

GUIDO. Nic.

RIENZI. A więc za parę godzin losy nasze, losy ludu, losy ojczyzny będą rozstrzygnięte!?

GUIDO. Tak.

RIENZI. Dziwnie jesteś zamyślony, mój Guido! Gdybym cię nie znał tak dobrze, mógłbym myśleć, że ci zabrakło odwagi do spełnienia dzieła,które było celem marzeń całego twego życia; mógłbym przypuszczać, że poświęciwszy

STEFAN. Obojętnem jest mi kto i co! Zaręczyłem swoim honorem, że im się nic złego nie stanie, więc tak być musi. (*do kobiet*). Panie możecie odejść.

ANDRZEJ (*rzuca się naprzód*). Ale ja na to nigdy nie pozwolę (*Stefan go odpycha i toruje drogę kobietom, które odchodzą) Andrzej biegnie za nimi, dobywając miecza*).

ANDRZEJ. Zapłacisz mi drogo za to. Broń się, do stutysięcy dyabłów, bo mnie już ręka świerzbi.

STEFAN. Pijany jesteś, mój Andrzeju, ale jeżeli chcesz koniecznie bić się ze mną, to ci służę (*dobywa również miecza, składają się przez chwilę, poczem Andrzej cofa się o parę kroków w tył, opuszcza miecz do ziemi i śmieje się*).

ANDRZEJ! Cha! cha! cha! nie głupim bić się z tobą. Wilcy nie zjadają się między sobą; gdybyś to jeszcze był niedźwiedziem, jak każden z Orsinich, to co innego! Zresztą jesteś tyle niezgrabnym, że mógłbyś mnie nadziać przypadkiem, a toby nie miało najmniejszego sensu. Ale powiem ci otwarcie, że nie masz za trzy grosze rozumu politycznego.

STEFAN (*śmiejąc się*). Co tu ma w tem wszystkiem rozum polityczny do roboty?

ANDRZEJ. O, twarda głowo! i ty tego nie pojmujesz, że naszym obowiązkiem było zabrać te kobiety, kiedy nam same w ręce wpadły.

STEFAN. Dla tego, że ci się podobały?

ANDRZEJ. Nietylko dla tego. Widzisz, mój drogi, ja się cały uginam pod ciężarem włożonych na mnie obowiązków.

STEFAN. Widzę, że się uginasz.

ANDRZEJ. Ojciec twój, pisze mi ciągle: "Czuwaj nad Rzymem, zważaj na kroki Rienzego, badaj usposobienie ludu. To mnie do rozpaczy przywodzi. Ja się mam zajmować tem, co robi taki nędzny skryba, taki mizerny szczekacz; albo badać, co myśli i mówi cała ta kanalia, ci wszyscy szewcy, krawcy i przekupnie, których płazuję po ulicy w przystępie dobrego humoru! A toby było zabawne! Dla świętego jednak spokoju, żeby mi już więcej nie mówiono o tym Rienzim, poleciłem jednemu zręcznemu człowiekowi uprzątnąć go z naszej drogi.

STEFAN. Ależ to proste morderstwo!

ANDZRZEJ. Morderców pełno w Rzymie. Co nas obchodzić może, że mu się przytrafi jaki wypadek?

STEFAN. Będzie to zawsze wstydem dla nas, że my, Colonnowie, ulękliśmy się tak dalece jednego demagoga, że aż musieliśmy się uciekać do płatnych zbrodniarzy.

ANDRZEJ. Ale pies zabity nie kąsa. Zresztą czy on nie zasłużył sobie na to, szkalując nasze wielkie rody i podszczuwając lud przeciwko nam?

STEFAN. Na to wszystko dostateczną odpowiedzią—nasza wzgarda.

ANDRZEJ. Gardź sobie, ile chcesz, ale to nie przeszkadza, że jak żmija wejdzie nam w drogę, to ją trzeba zdeptać.

No, chodźmy się napić wina, bo czuję, że mi w gardle zasycha (*odchodzą na prawo, z lewej strony wchodzą Beppo i Lippo*).

SCENA VI.

Beppo i Lippo, później *Agata*.

(*W ciągu tej sceny słychać bicie w dzwony*).

BEPPO (*patrząc za odchodzącymi Stefanem i Andrzejem*). Poczekajcie, wy pankowie: nie długo tu waszego panowania (*biegnie w stronę gdzie poszli — robi gest urągający*) Wezmą was dyabli — wezmą (*przestrasza się*). Tam do licha, powracają (*ucicka na przód sceny do Lippa*).

LIPPO. E, nie — idą dalej w swoją drogę.

BEPPO. Dałbym ja im (*półgłosem*), nigdybym się tylko nie bał, (*wychyla się za kulisy, za nimi wołając*) Rozbójnicy! tyrani! zapłacimy wam za wszystkie nasze krzywdy.

LIPPO. Mój Beppo, powiedz mi, bo ty więcej wiesz odemnie, co się do takiego u nas dzisiaj święci? — Czy słyszysz, jak biją we wszystkie dzwony?

BEPPO. Naturalnie, że wiem, wiem wszystko; bez mojej wiedzy nic-by się stać nie mogło.

LIPPO. Doprawdy?

BEPPO. Jak Boga kocham.

LIPPO. Więc mi powiedz.

BEPPO. Jakkolwiek to wielka tajemnica, jednak ci opowiem, bo mi żal ciebie, żeś taki nieoświecony. Otóż widzisz, dzisiaj odbędzie się wielka rewolucya.

LIPPO. A cóż to takiego ta rewolucya?

BEPPO (*z politowaniem*). Ach, jaki ty ciemny jesteś,nic nie wiesz.—Rewolucya... jakby ci to powiedzieć... rewolucya... no, to po prostu tak... zbierze się ćma ludu, będą krzyczeć, będą chodzić, nosić chorągwie, które ja widziałem jak się robiły, potem Rienzi będzie mówić do ludu, potem znów będą krzyczeć—a potem będzie wolność.

LIPPO. I czyż to będzie coś lepszego dla nas z tej wolności?

BEPPO. Ach, jaki on głupi — jaki głupi! Pyta mi się, czy będzie lepiej! A to się ma rozumieć! Jak będzie wolność, to będzie nam wolno robić co się tylko żywnie spodoba. Jak będzie wolność, to Colonnów, Orsinich i wszystkich innych panów dyabli wezmą, a my będziemy panami. Jak będzie wolność, to żaden z nas nie

będzie pracował, a wszyscy będziemy mieli pieniądze.

LIPPO. A to wybornie, kiedy tak. Zaraz porzucę moją żonę, bo mi się już sprzykrzyła, i ożenię się z Niną. (*woła, podskakując*). Niech żyje rewolucya! niech żyje wolność!

BEPPO. Cicho głupcze, nie wrzeszcz tak, bo możemy oberwać guza.

LIPPO. A to dlaczego, kiedy mamy mieć wolność?

BEPPO. Ba! Trzeba poczekać, niech się wprzód sama zrobi, bo to, widzisz, mój Lippo, dyabeł nie śpi. Ostrożny człowiek nie awansuje się przed czasem. To i mnie tak ciągnięto: chodź do Kolosseum, chodź do Ś-go Anioła, pomagaj nam w tem lub owem; ale ja nie w ciemię bity: a nuż-by tam przyszło do czego złego i człowieka by zakłuto ni w pięć ni w dziewięć... Jak się zrobi wolność, to co innego, to wtedy będę stał przy wolności i będę z niej korzystał. Nie zapłacę żadnego długu.

LIPPO. Mądry człowiek z ciebie, mój Beppo; wytłómaczyłeś mi wszystko jak jaki kaznodzieja.

BEPPO. Już to mogę przyznać sobie, że mam głowę na karku.

(*Wpada zadyszona Agata*).

AGATA. Czy nie wiecie, co się stało? — Miły Boże, miły Boże, co się dzieje!

BEPPO I LIPPO (*razem*). Mówcie, mówcie pani Agato.

AGATA. Byłam w kościele Ś-go Anioła; trudno się było przetłoczyć, taki ścisk. Nabożeństwo nieustanne przy każdym ołtarzu. Modliłam się gorąco.

BEPPO. Ale co dalej? co dalej?

AGATA. Przyszedł potem Rienzi, wysłuchał pobożnie mszy świętej, po mszy wyszedł z kościoła, za nim lud, z ludem i ja. Staliśmy na placu; Rienzi miał zacząć mówić. Naraz trzech ludzi rzuciło się na niego ze sztyletami.

BEPPO. I zabili go? Dobrze mu tak; po co się mięszał w nieswoje rzeczy.

AGATA. Ale gdzie tam! święty Anioł sprawił cud nad cudami. Sztylety zabójców zsunęły się po odzieży Rienzego, jakby były z papieru. Locciolo zaraz jednego pięścią powalił na ziemię — a wiecie jaką ma pięść silną.

LIPPO. Mógłby wołu uderzeniem zabić..

AGATA. Jeden tylko Cecco, zasłaniając Rienzego i szamotając się z złoczyńcami, został skaleczony w ramię, ale i to nie szkodliwie. lud się zaraz rzucił na złoczyńców i byłby ich rozszarpał w kawałki, gdyby nie powaga Rienzego, który ich kazał puścić wolno, mówiąc, że

im przebacza, byle się tylko poprawili nadal. Poczem lud zaczął krzyczeć:—Niech żyje Rienzi! niech weźmie władzę nad nami; bronił zawsze praw ludu: niech będzie jego trybunem.

BEPPO. A to przepysznie! doskonale! (*do Lippa*) A nie mówiłem, ci, że tak będzie!— (*podskakując*) Niech żyje Rienzi!

AGATA. Naraz po wszystkich kościołach zaczęły bić dzwony, lud się ruszył naprzód. Na drodze spotkaliśmy całą chmarę ludu, która była w Kolosseum: ta szła z rozwiniętemi chorągwiami, na czele szedł Guallato. Lud ciągle krzyczał. —Niech żyje Rienzi! niech żyje trybun ludu! muzykanci przygrywają, wszyscy się cieszą. Ach, jakże to pięknie! Miły Jezu, nie widziałam nic podobnego jak żyję.

BEPPO. A gdzież są oni?

AGATA. Ciągną wszyscy tutaj. Ja się wyrwałam naprzód bocznemi uliczkami, żeby zabrać dobre miejsce wcześniej, a nie stać w tyle za innemi (*Słychać zbliżające się okrzyki i dźwięki muzyki*).

BEPPO I LIPPO (*za zbliżeniem się orszaku wołają*): Niech żyje Rienzi! niech żyje trybun ludu!

(*Pochód uroczysty.—Guallato na czele, z najwspanialszą chorągwią, czerwoną ze złotemi literami) na niej wymalowana symboliczna postać Romy, siedząca na dwóch lwach i trzymająca glob i palmę.*

Za nim druga chorągiew, biała, ze świętym Pawłem, z mieczem i koroną w ręku; trzecia błękitna, ze świętym Piotrem z kluczami; czwarta—żółta, ze świętym Jerzym.—Za chorągwiami muzykanci, heroldowie. — Za nimi Rienzi w towarzystwie Mancina i legata papieskiego, dalej Locciolo—Cecco—mieszczanie—kobiety—lud.

SCENA VII i ostatnia.

Rienzi, Mancino, Legat, Guallato.

LOCCIOLO, CECCO, BEPPO, LIPPO, AGATA.

Muzykanci, kobiety, heroldowie.

(*Rienzi wstępuje na podwyższenie*).

I. HEROLD. (*w jedną stronę ludu*). Uciszcie się!

II. HEROLD (*w drugą stronę*). Rienzi chce mówić!

Szmer się uspakaja).

RIENZI. Rzymianie! Dokonaliście dziś wielkiego przewrotu; jednakże to dopiero krok pierwszy na drodze, którą wam przebiedz potrzeba. Sławna przeszłość waszych przodków, pamiętne w dziejach imię Rzymu, wkłada na was obowiązki, o których ani na chwilę zapominać się nie godzi. Potrzeba całej ofiarności i wytężenia wszystkich sił ażeby zatrzeć złe, które

wieki ucisku i ciemnoty sprawiły. Powierzyliście mi władzę nad wami: przyjmuję ją w przekonaniu, że potrafię przyczynić się do utrwalenia praw i porządku. Nie występuję tu w imieniu jednego stronnictwa, ażeby służyć jego interesom i nienawiściom, ale biorąc władzę w swe ręce, chcę mieć dobro wszystkich na celu. Chcę równości praw i obowiązków dla wszystkich synów tej ziemi, ale jednocześnie uszanuję święte przywileje Kościoła, a nawet przywileje dawnych rodów, o ile te nie będą zagrażać publicznemu porządkowi. Pragnę wolności rozumnej opartej na poszanowaniu praw i wzajemnej wyrozumiałości; przedewszystkiem zaś będę usiłował przywrócić rzetelny wymiar sprawiedliwości, zaszczepić ład i karność i wskrzesić poczucie cnót obywatelskich. Brakiem cnoty upadają narody i jedynie cnota zdoła je podźwignąć z upadku. Ale, aby się dźwignąć z niego, na to nie wystarcza chwilowy, choćby najwyższy heroizm, trzeba koniecznie wytrwałej pracy i patryotycznej zacności całych pokoleń. Od was więc samych zależy wasza przyszłość, a ja wam tylko mogę przewodniczyć na tej drodze.

(*Okrzyki*).

Niech żyje trybun!
Niech rządzi nami!
Niech nas prowadzi!

RIENZI (*zwój pergaminowy podając Mancinowi*).

A teraz hrabia Mancino niech odczyta ludowi nowe prawa (*Mancino wstępuje na podwyższenie, biorąc pergamin*).

ZASŁONA SPADA.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

SCENA I.

Teatr przedstawia salę w domu Rienzego—na lewo drzwi do jego pokoju; główne wejście z prawej strony, w głębi sceny na środku drzwi za balkon.— Po podniesieniu zasłony Paola i Guido siedzą zajęci rozmową.

Paola i Guido.

PAOLA. Tak rzadko teraz widuję was, panie; nie przychodzicie już jak dawniej, pomagać Rienzemu w jego pracach i udzielać rad swoich, tak mu potrzebnych.

GUIDO. Pomoc moja jest już dziś zbyteczną Rienzi potrafi stać sam o swojej sile, wie dobrze, czego pragnie i do czego dąży: wszelkie więc rady moje mogłyby mu być tylko zawadą w jego zamiarach.

PAOLA. Wiem, co chcecie przez to powiedzieć: Rienzi nie słucha już głosu waszego, a wy nie chcecie i nie możecie brać dalej odpowiedzialności za jego czyny i postępki.

GUIDO. Nie tłómaczcie sobie, dostojna pani tak źle prostych moich wyrazów.

PAOLA. Nie zapierajcie się napróżno przedemną! Chociaż jestem kobietą niezdolną ocenić spraw i działań takich, jak wy, ludzi, sercem jednak odgaduję co was dzieli, i nie mogę, niestety, ani ciebie, panie, obwinić, ani też całkowicie usprawiedliwić mojego męża.

GUIDO. Usprawiedliwieniem jego będzie to, co dokona, a świat cały wdzięcznym mu nawet będzie za chwilowe nadużycie władzy, w miarę wielkich korzyści, jakie osiągnie.

PAOLA. Bodajby się sprawdziły wasze słowa! lecz ja od niejakiego czasu zaczynam znowu być niespokojną o przyszłość. Z początku było, ach, inaczej! Tryumf Rienzego był tak jasny i czysty,rządy jego tak sprawiedliwe i szlachetne. W krótkim czasie zyskał sobie nietylko miłość swoich, ale podziw i uwielbienie całego świata. Petrarca pisywał doń listy natchnione uniesieniem i czcią dla jego geniuszu. Monarchowie europejscy zasięgali rad jego i oddawali sprawy swoje pod jego sądy. Wszyscy skarbili sobie jego przyjaźń i po całej przestrzeni Włoch znajdował sobie sprzymierzeńców i zwolenników.

GUIDO (*z zapałem*). O, tak! Zdawało się, że dla Ludzkości zeszła nowa jutrzenka, z której czerpać on będzie blaski na późne wieki. Zdawało się, że Rienzi pokaże światu możność pojednania wszystkich walczących dotąd ideałów, że da przykład jak pogodzić wolność z porządkiem, jak wytworzyć siłę opartą na cnocie i sprawiedliwości, jak zapewnić wzrost potęgi i szczę-

ścia kraju bez wstrząśnień i bez ucisku. Piękne to były chwile! Czułem się porwanym i upojonym z nieograniczoną ufnością marząc o świetnej przyszłości.

PAOLA. I ja byłam dumną i szczęśliwą, a jeżeli mi czego nie dostawało do zaspokojenia wymagań własnego serca, to mogłam nagrodzić to sobie chwałą Rienzego i widokiem ogólnej pomyślności. Zresztą, widziałam was zawsze obu razem, idących ręka w rękę, i łudziłam się, że nic nie zdoła zachwiać tej świętej harmonii, która była dla mnie najlepszą rękojmią przyszłości. Ale, niestety, w krótkim czasie wszystko się tak zmieniło. Rienzi w każdym dniem zaczął się stawać coraz- to więcej tajemniczym i nieprzystępnym; nieograniczona duma owładnęła jego duszą i zabiła powoli wszystkie inne uczucia. Nie miał względu ani na własną siostrę, ani na świętość przyrzeczeń, tylko wysławszy Cecca do Avignonu, wydał biedną Biankę za nienawistnego jej Andrzeja Colonnę. Stał się nieczułym i obojętnym dla wszystkich, co go kochają, wyzywającym wobec papieża i cesarza, wymagającym coraz to nowych hołdów i uroczystych koronacyj, a od czasu nieszczęsnego zamachu Colonnów, widzę w nim nawet rodzącą się podejrzliwość i srogość, które mnie trwogą przejmują. Nie mnie się to godzi oskarżać własnego męża, ale boleść i niepokój wycisnęły mi to wyznanie.

GUIDO. Uspokój się pani! tak źle znowu nie

jest. Zapewne, nie wszystko w postępowaniu Rienzego da się bezwzględnie pochwalić teraz, ale też nie mamy jeszcze prawa do sądu, nie mając klucza do jego zamiarów. Jeżeli Rienzi odbywał po kilkakroć tryumfalne pochody, otaczał się blaskami i dostojeństwy, jeżeli nareszcie z niezwykłą uroczystością dał się koronować w Lateranie, to pewnie nie dla zadowolenia znikomej pychy, lecz, żeby w serca ludu wrazić tym sposobem poszanowanie dla majestatu władzy. Jeżeli zaś potem znowu, poskromiwszy bunt Colonnów, okazał się nieubłaganym dla zwyciężonych, to powodowała nim niezawodnie, ta myśl, że wojna domowa jest ową hydrą stugłową, którą trzeba zmiażdżyć w samym zarodzie, i że wszelka pobłażliwość w początkach więcej-by tylko ofiar wymagała w przyszłości.

PAOLA. Szlachetność nakazuje wam usprawiedliwiać każdy krok Rienzego, ale nie czujecie tak, jak mówicie.

GUIDO. Być może, a to dla tego, że we mnie uczucie góruje często nad rozumem i że nie miałbym odwagi do spełnienia czynów, które mi się niezbędnemi wydają. Niemniej jednakże bez żadnego fałszu z mej strony mogę podziwiać w Rienzim ten hart woli, którego mnie nie dostaje, i oceniać jego postępki ze stanowiska, z jakiego on je podejmuje. Czasami, wyznaję to otwarcie, wolałbym go widzieć czystszym i jaśniejszym i żal mi tych idealnych rysów, które się

zacierają; ale wtedy myślę tylko ze smutkiem, że nic z tego, co się urzeczywistnia na ziemi, nie może się obejść bez przymieszki ziemskiego błota.

PAOLA. Dzięki wam, że słowami waszemi krzepicie moją wiarę w Rienzego. Bez tej wiary byłabym bardzo nieszczęśliwą.

(*Wchodzi kardynał Bertrand di Deucio, legat papieski, głównemi drzwiami*).

SCENA II.

Guido, Bertrand di Deucio i Paola w początku. — Ruchy Bertranda i całe zachowaniesię majestatyczne, dumne i porywcze zarazem).

BERTRAND (*wchodząc*). Gdzie jest Rienzi, potrzebuję się z nim widzieć natychmiast.

PAOLA. Pracuje w swoim pokoju.

BERTRAND. Racz go pani przywołać.

PAOLA. Oznajmię mu przybycie Waszej Eminencyi (*odchodzi na lewo*).

BERTRAND (*do Guidona*). W jakich czasach żyjemy! Mój Boże! nikomu już teraz zaufać nie można. Wszystko niewdzięcznicy i zdrajcy, co szarpią łono matki swej, Kościoła! Religia stała się tylko, albo pokrywką ambitnych pragnień, lub celem otwartych prześladowań.—

Któżby się spodziewał, że, obsypując Rienzego tylu dobrodziejstwami, wychowamy dla siebie żmiję, co nas kąsać będzie!

GUIDO. Wasza Eminencya może nazbyt surowo sądzi z pozorów.

BERTRAND. Nie mamy zwyczaju sądzić z pozorów. Jesteśmy cierpliwi i pełni pobłażania aż do końca, nie pragnąc zguby grzesznika, tylko jego nawrócenia. Ale Rienzi zdradził się ze swemi zamiarami i otwarcie podniósł świętokradzką rękę na Kościół. Bezbożny i niewdzięczny zarazem.

(*Wchodzi Rienzi z lewej strony*)

SCENA III.

Guido, Bertrand, Rienzi.

RIENZI. Wasza Eminencya kazała mię przywołać: jestem na jej rozkazy.

GUIDO (*zabierając się do wyjścia*). Ja więc nie przeszkadzam i odchodzę.

BERTRAND (*do Guidona*). Owszem, pozostańcie, chcę was mieć świadkiem mojej rozmowy z trybunem.

RIENZI. Tem milej będzie i dla mnie. Co wasza Eminencya ma mi do powiedzenia?

BERTRAND. Pytasz się, co mam ci do powiedzenia? zapytaj się lepiej siebie samego.

Zapytaj się: kto cię wydobył z nicości? kto cię okrył zaszczytami? dał dostojeństwo i władzę?

RIENZI. Któż inny, jeżeli nie czyny moje i ten lud, co mię ogłosił trybunem?

BERTRAND. Niewdzięczny! zapominasz, że bez naszego współudziału i bez sankcyi papieża byłbyś niczem.

RIENZI. Mamże żywić nieskończoną wdzięczność dla was, żeście zezwolili na to, czemu przeszkodzić nie byliście w stanie? Ale porzućmy tę czczą rozmowę i mówmy lepiej: o co teraz chodzi?

BERTRAND. Nie wiesz o co chodzi? doprawdy? nie łamałżeś wszystkich najsurowszych zobowiązań dzielenia rządów z przedstawicielem papieża? Nie przywłaszczyłżeś sobie po woli, bezprawnie całego wymiaru władzy? Nie zacząłeś potajemnie działać na swoją rękę, lekceważąc liczne moje przestrogi i napomnienia?

RIENZI. Chciałem dotrzymać święcie wszystkiego, com przyrzekł, i, otaczając was czcią należną, każdy krok mój oddawałem pod sądy wasze. Nie moja wina, jeżeli z czasem urosła w przekonaniach naszych taka olbrzymia różnica, że niepodobna było je pogodzić. Byłem przymuszony wybierać: więc nie dziw, że wybrałem moje własne. Nie moja wina, jeżeli potem, urażeni, usunęliście się całkiem od udziału w sprawach, zaszczycając mię tylko od czasu do

czasu swojemi pogróżkami i krzyżując, gdzie się tylko dało, zamiary moje.

BERTRAND. Może ci trzeba było pomagać jeszcze w twoich nieustannych zamachach na święte prawa Kościoła, służyć ambitnym widokom zdradzieckiego uzurpatora! I tak byliśmy cierpliwi, nadto cierpliwi! (*zwracając się do Guida*). Osądź sam, Guido! Nie dosyć było temu człowiekowi, któregośmy obdarzyli swojem zaufaniem, rozpostrzeć samowładnie rządy nad Rzymem na przekór swoim przysięgom; nie dość mu było, nie uznając nic i nikogo nad sobą, dopuszczać się wszelkich nadużyć i gwałtów: ale jeszcze w obłędzie zaślepionej dumy zamierzył się on rzucić na inne dzierżawy świętej stolicy. Powoli, w skrytości, siecią intryg i podstępów zagarnął pod swoje rządy okoliczne miasteczka, jedne po drugich. Wszędzie ustanawia swoje jurysdykcye, swych urzędników, zabiera fundusze przynależne Kościołowi, pomnażając za nie liczbę swoich milicyj, i sięga już chciwą ręką po Viterbo i Orvietto.

GUIDO. Jestże to prawda?

RIENZI. Wszystko prawda — i cóż więc?

BERTRAND (*drżąc z gniewu*). Podziwiam waszą czelność, trybunie. Popełniliście wiarołomstwo zdradziliście zaufanie, targnęliście się świętokradzko na najświętsze prawa Kościoła i śmiecie i jeszcze patrzeć bez zawstydzenia w oczy i pytać urągająco: i cóż więc?!

RIENZI. Śmiem! A to dla tego, że w moich oczach są inne prawa, świętsze od praw Kościoła, o których ciągle wspominacie, a temi są — prawa narodu. Rzym był niegdyś stolicą całego świata: powinien więc odzyskać choć cząstkę dawnej świetności. Wam się dostał w ręce ten kawałek ziemi: powiedzcie; coście z niego zrobili? zasialiście ciemność, nędzę i rozprzężenie!

BERTRAND. Narody i państwa upadają a na to poradzić nie jest w niczyjej mocy. Ale my służymy nieśmiertelnej prawdzie, która jedna upaść nigdy nie może, i wobec której wszystko inne jest przechodniem i znikomem.

RIENZI. I ja także służę prawdzie, którą wyznaję w głębi mego serca, i w imię jej pragnę wyzwolić lud mój z więzów ciemności i poniżenia, w jakich go trzymacie, i powrócić mu władzę nad sobą, z której go wyzuliście, a która mu z prawa należy.

BERTRAND. Szalony! czemże są wasze prawdy! Fałszywemi bożyszczami, które każde pokolenie lepi sobie na nowo, krusząc dawne. Ze śmiercią każdego z was w nicość się rozpada cała jego praca i wszystkie ambitne dążenia, a ci, co was czcili za życia, złorzeczą waszym prochom. Ale Kościół nasz—ten jest zawsze jeden, wieczny, niezmienny, ma wytknięte drogi, z których nigdy nie zbacza; ogarniając sobą całą Ludzkość, całą przeszłość i przyszłość świata. Kto się porwie na niego, ten zginie.

RIENZI. Tak, bezwątpienia! macie wyższość nad nami, jesteście silnie zorganizowani, z wytkniętym planem na całe wieki, i w tym odwiecznym sporze o władzę zwyciężaliście zawsze dotąd swoich przeciwników. Lecz czyż to ma być dowodem, że przy was jest prawda?

BERTRAND (*z dumą*). Nie przyszedłem rozprawiać z tobą: przyszedłem poraz ostatni żądać, abyś się upokorzył, wyrzekł nieprawych zdobyczy i zastosował odtąd do naszych wyroków wszystkie kroki twoje.

RIENZI (*gwałtownie*). Tego nigdy nie uczynię!

BERTRAND. A więc niech będzie jako chciałeś! Tak jak cię wynieśliśmy z prochu, tak cię napowrót skruszyć w proch potrafimy.

RIENZI. Wolę, że zrzucicie maski. Wolę mieć w was otwartych wrogów, niż fałszywych sprzymierzeńców, co działają podstępem i zdradą. Tak przynajmniej ustrzedz się was potrafię.

BERTRAND (*w najwyższem uniesieniu*). Bezbożny szaleńcze, wydałeś wyrok sam na siebie! (*odchodzi majestatycznie*).

GUIDO (*do Rienzego*). Rienzi, co zrobiłeś?! (*biegnąc za Bertrandem*) Wasza Eminencya niech się zatrzymać raczy (*Bertrand odchodzi, nie zważając*).

RIENZI (*do Guida*). Daj pokój.

GUIDO. Oni gotowi cię zgubić.

RIENZI. Nie odważą się teraz.

GUIDO. Obraziłeś go śmiertelnie; trzebaby go w jaki sposób ułagodzić.

RIENZI. Uniosłem się zanadto, to prawda, ale ustępstw żadnych uczynić nie mogę.

GUIDO. Pobiegnę za nim i spróbuję co się da zrobić.

RIENZI. Idź, jeźli chcesz (*Guido odchodzi*).

SCENA IV.

Rienzi sam, potem *Cecco.*

RIENZI. Potrzeba się jednak zabezpieczyć na wszelki wypadek i ściągnąć wszystkie milicye do Rzymu (*siada przy stole i pisze, potem klaszcze w dłoń, wchodzi jeden ze straży*).

Wysłać natychmiast ten rozkaz do Narni i doręczyć go dowódcy moich żołnierzy.

(*Straż się oddala.—Wchodzi Cecco*).

CECCO. W tej chwili przybyłem z Avignonu i, nie zatrzymując się nigdzie, przychodzę wprost do was, trybunie, aby doręczyć te listy i papiery.

RIENZI. Dobrze, podaj mi je.

(Cecco przystępuje i podaje mu kilka różnych papierów, które Rienzi w ciągu sceny jeden po drugim rozwija i czyta.

CECCO. Ale zarazem przyszedłem trybunie upomnieć się o przyrzeczoną mi nagrodę. Wszystko wykonałem, coście nakazali: teraz więc powinniście bez dalszej zwłoki oddać mi rękę swojej siostry. Gdzie jest Bianca?

RIENZI *(odrywając się od czytania)*. Z przykrością przychodzi mi wyznać tobie, mój Cecco, że to małżeństwo już jest niepodobieństwem Bianca bowiem oddała już swą rękę Andrzejowi Colonnie.

CECCO *(gwałtownie)*. Chyba żartujecie sobie ze mnie. Bianca miałażby być wiarołomną? a wy mieliżbyście niedotrzymać waszych przyrzeczeń? To niepodobna!

RIENZI. Posłuchaj mnie z zimną krwią, jak przystoi na męża. Nie dotrzymałem swoich p yrzeczeń, wyznaję; ale bywają okoliczności, w których łamać się je godzi. Interes publiczny górować musi nad naszemi uczuciami i namiętnościami; dla niego poświęciłem ciebie, poświęciłem własną siostrę, tak, jak w każdej chwili gotów jestem poświęcić swoje ciało i duszę. Wrogowie nasi, wrogowie sprawy ludu, byli zanadto silni; potrzeba było znaleźć sprzymierzeńców we własnym ich obozie. Andrzej Colonna zażądał ręki Bianki; nie mogłem mu odmówić, żeby nie narazić Rzymu na nowe walki i spustoszenia.

CECCO. A więc to prawda?

RIENZI. Bądź wyrozumiałym. Cecco, zapanuj nad swemi uczuciami; będę się starał inaczej cię wynagrodzić.

(*Pogrąża się w czytaniu, nie patrząc na Cecca; w twarzy Cecca widać straszną burzę; stoi przez chwilę nieruchomie, potem chwyta za sztylet dobywa go i pochyla się naprzód, niby do skoku, chcąc się rzucić na Rienzego, lecz powstrzymuje się i chowa sztylet*).

CECCO. (*półgłosem*). Teraz—nie!

RIENZI (*który nic nie widział, dosłyszawszy te słowa*). Co mówisz, Cecco?

CECCO (*przymuszając się do spokoju*). Mówię, że teraz jeszcze nie mogę przyjść do siebie; ale postaram się pokonać moją słabość. Przyrzekliście mi wynagrodzić krzywdę moją: będę chciał zapracować sobie na to wynagrodzenie; potrafię czekać cierpliwie (*uśmiecha się dwuznacznie*).

RIENZI. Spodziewałem się tego po rozsądku twoim. Pojmuję całą przykrość, którą mogłeś uczuć na razie, ale rany miłosne prędko się goją. Pięknych kobiet nie braknie w Rzymie: znajdziesz inną, która cię pocieszy. Nieprawdaż?

CECCO (*ponuro*). Nie mówmy o tem lepiej.

RIENZI. Masz słuszność, boleść twoja jest jeszcze za świeża. W każdym razie liczę zaw-

sze w przyszłości na ciebie. Niechże ten mój krok, do którego byłem zmuszony, nie pozbawi mnie tak zaufanego, jak ty, przyjaciela, ani też kraju — usług twych, które tak mu są potrzebne.

CECCO (*j. w.*). Pozostanę ci wiernym aż do śmierci.

RIENZI. Cieszę się z tego, co mówisz; potrzeba mi wiernych przyjaciół; złe wieści przyniosłeś mi z Avignonu. Chcą kierować mną jak ślepem narzędziem, zrobić ze mnie niewolnika, grożą mi jak dziecku (*drze z gniewem papiery; wbiega Paola*).

SCENA V.

Rienzi, *Cecco*, *Paola*, potem *Locciolo*, *Guido* i *Mancino*.

PAOLA (*wzruszona*). Rienzi, to okropne! nasza Bianca nie żyje. Przywiedziona do rozpaczy złem obchodzeniem się jej męża, utopiła się. To straszne, nieprawdaż?

CECCO. Nie żyje! stracona dla mnie na wieki! A więc chyba niema Boga na niebie.

PAOLA. To Cecco, o Boże!—nie widziałam go.

RIENZI. Skąd wiesz to wszystko!

PAOLA. Od Locciola, który właśnie stam-

tąd powrócił (*Locciolo wchodzi podczas gdy to Paola mówi*).

LOCCIOLO. Tak, Rienzi, siostra twoja zginęła marnie. Nie wiedząc o niczem, wybrałem się, aby ją odwiedzić, ale już jej nie zastałem przy życiu.

RIENZI. Drogo mi za to zapłaci Andrzej Colonna. Choćby miał sto głów, to mu je wszystkie zetnę! Przysięgam się zemścić straszliwie.

CECCO (*na stronie*). I ja przysięgam.

PAOLA. Ale to wszystko nie wróci życia biednej Biance (*wchodzą pośpiesznie Guido i Mancino*).

GUIDO. Nie mogłem dogonić kardynała, a teraz już nie ma czasu na poszukiwanie za nim. Grozi nam niebezpieczeństwo bezzwłoczne.

MANCINO. Colonnowie z wojskami swemi są prawie pod murami miasta, podeszli niespodziewanie. Niema chwili czasu do stracenia.

RIENZI. A więc to wszystko było już ułożone mięczy nimi a kardynałem! Dla tego-to on był taki śmiały. Ha! tem lepiej. Czuję w sobie pragnienie krwi, które muszę zaspokoić. Żadnej łaski! żadnego przebaczenia!—potrzeba będzie do szczętu wytępić ten ród jaszczurczy, który co chwila wznieca pożar domowej wojny.

MANCINO. Jakież rozkazy?

RIENZI. Zamek Świętego Anioła jest już obsadzony, należy tylko podwoić załogę. Ja z wami, na czele wszystkich sił waszych, pójdę przyjąć jak należy Colonnów u bram miasta (*dobywa miecza*). Zapomnieli już o przeszłej klęsce; trzeba im zgotować drugą, którąby w grobach swoich przez całą wieczność pamiętali. Za nami jest lud, za nami jest prawo; upaść nie możemy. Potrzeba, tylko wiary w siebie, a zwycięstwo nasze!

LOCCIOLO. Nie damy się przecie tym rabusiom (*chwytając za topór zawieszony*). Moje pięście przydadzą się dzisiaj.

RIENZI. A więc naprzód, za mną! śpieszmy zgromadzić żołnierzy, i dalej, na wroga!

GUIDO. Idźmy więc! Niech krew przelana spadnie na ich głowy!

PAOLA. I ja z wami! bo jeżeli zginiecie, co mi po życiu? Ten sztylet mi wystarczy (*zabierają się ku wyjściu*).

MANCINO (*odchodząc, na Cecca, co stał nieruchomy*). A ty, Cecco, nie idziesz z nami?

CECCO. Co mnie cały świat obchodzi, kiedy ona nie żyje? (*po chwili*) Ale pójdę za wami, ażeby zabijać (*odchodzi za innymi*).

(Zmiana dekoracyi).

SCENA VI.

Plac przed zamkiem św. Anio'a, w głębi most na Tybrze.

Beppo, Lippo, Agata.

AGATA (*szybko*). A ja wam powiadam, że nie tak było: przecież widziałam i słyszałam dobrze, bom się dopchała tuż pod samą ambonę. Otóż przed samem rozpoczęciem nieszporów wszedł na kazalnicę kardynał Bertrand pontyfikalnie ubrany, trzymając w jednym ręku pergamin, a w drugim zapaloną czarną świecę. Za nim dwóch zakapturzonych braciszków, również z takiemi świecami. Poczem, przykląkłszy i pomodliwszy się przez chwilę, zaczął mówić do ludu. Cicho było jakby makiem zasiał. Aż on tu jak zacznie mówić o zbrodniach Rienzego i o karach, jakie czekają na tym i na tamtym świecie jego i wszystkich, co mu służą, to aż włosy na głowie powstawały. Mówił jak to on uwiódł lud: jak zdradzał, jak nieprawnie rządził, a co najgorsza, jak się okazał świętokradcą i heretykiem. Wytłómaczywszy potem wszystkim do rozumu, co to znaczy klątwa i jak prowadzi prosto do piekla przestępcę, odczytał z pergaminu exkomunikę samego papieża i zaczął wyklinać.—Jezu Marya! co za straszne przekleństwa: ażem się cała spociła i spłakała, słuchając. Każdy, co się do niego zbliży, będzie potępionym; strzecha, pod którą spocznie, będzie przeklęta; wyjęty z pod wszelkich praw boskich

i ludzkich, ma się błąkać jak dziki zwierz, dopóki nie zginie nędznie bez rozgrzeszenia i bez sakramentów. Jak skończył, zagasił świecę, złamał ją na poły i rzucił na kościół; tak samo zrobili braciszkowie, a lud cały, struchlały, zaczął się bić w piersi i jęczeć, jakby to już sam sądny dzień nastał.

BEPPO. Wszakżeśmy to samo mówili, pani Agato.

LIPPO. Kubek w kubek to samo.

AGATA. A nie powiedzieliście nic, że go nazwał heretykiem i że przy końcu gasił i łamał świecę: a to z wszystkiego najważniejsze.

BEPPO. Łamał, czy nie łamał, to mi wszystko jedno, ale w tem grunt, że ogłosił Rienzego za zdrajcę, świętokradcę i heretyka, którego nikt słuchać nie powinien. To mu się już słusznie oddawna należało.

LIPPO. Ktoby się to był spodziewał, że trybun takim jest niegodziwcem!

BEPPO. Oho, ja to już poznałem oddawna, tylko nie mówiłem nikomu. Wiedziałem zaraz co się święci. Niby-to miała być wolność, a tu każdy musiał się wystrzegać wszystkiego, żeby go czasem za jaką głupią sprawkę do sądu nie pociągnięto. O pieniądze także daleko trudniej było niż przedtem. Dawniej, jak jeszcze w mieście siedzieli panowie, to rozrzucali przynajmniej złoto całą garścią i można się było czasami obłowić; ale jak nastał Rienzi, panowie się po-

wynosili, i kwita z wszystkiego. Rienzi zaczął w najlepsze krzywdzić i okradać lud. Wiem z pewnością, że zgromadził wielkie skarby.

LIPPO. Miły Boże! żeby się to można do nich dobrać!

BEPPO. Ba! żeby wiedzieć gdzie je ukrył, ale pewnie nie trzymał ich w domu, bo wiedział, zdrajca, co go czeka.

AGATA. A jak się to wszystko puszyło! Najsłodszy Jezu, myślałby kto, że Bóg wie co oni za jedni. Jak pan z panów się rozbija i za nic ma innych ludzi, to mu wolno, bo się na to urodził. Ale takiemu Rienzemu, o którym wszyscy wiemy, że jego ojciec był szynkarzem, a matka praczką, otaczać się książęcym przepychem i patrzeć z góry na wszystkich,—do czego to podobne! A i ta żona jego, Paola, zawsze w atłasach i aksamitach, jak hrabina jaka, chodziła z całym orszakiem dam i dworzan. Choć mnie spotkała czasem, to nie spojrzała nawet na mnie, a znałam ją małą dziewczyną jak świeciła dziurami w rękawach i przychodziła do mnie kupować chleb i gruszki.

BEPPO. Wszystko to z naszą krzywdą pani Agato (*za sceną słychać gwar i tumult, jakby przebiegały gromady ludzi, wydając okrzyki*).

AGATA (*wychylając się za kulisy*). Gdzie biegną te gromady ludu i czego tak krzyczą?

BEPPO. Zapewne Colonnowie pobili osta-

tecznie trybuna: więc ludek się cieszy i biegnie burzyć i rabować dom Rienzego.

LIPPO. Możebyśmy się połączyli do nich?

BEPPO. Nie tak łatwo będzie się tam pożywić wśród tylu drabów: kto nie ma silnych pięści, niech sobie lepiej da pokój.

(*Słychać wznowiony ruch, gwar i okrzyki*).

Widzisz ilu ich tam leci ze wszech stron zbiegną się jak kruki, a uczciwego człowieka nie dopuszczą.

AGATA. Matko Najświętsza, miejże Ty nas wszystkich w swojej opiece! Toż-to dopiero będzie Rienzemu, jak go przypadkiem zdybią! Ale też zasłużył, bo zasłużył.

BEPPO. Każdy ma teraz prawo zabić go jak wściekłego psa. Zabić heretyka, nie tylko że niema grzechu, ale jest nawet zasługą.

LIPPO. To coś okropnego musi być taki heretyk?

BEPPO. Widzisz, mój Lippo, jest to rzecz najstraszniejsza w świecie. Można bowiem zrobić to i owo, można nawet kraść i rozbijać, a być jeszcze w gruncie uczciwym człowiekiem. Ale heretyk ! ten z góry duszę dyabłu zapisał— i na niego niema innej rady, tylko trzeba go wysłać czem prędzej do piekła.

LIPPO. A więc on zapisał duszę dyabłu?

AGATA. Najniezawodniej w świecie. Moja

kuma Jakóbowa klęła się na wszystkie świętości, że nocami widywała ogromnego nietoperza, który krążył około domu Rienzego, a potem wlatywał do niego kominem! Cóżby to być mogło innego, jeżeli nie duch przeklęty, od którego mocy zachowaj nas, Panie!

BEPPO. Ale tak, tak, to nie ulega żadnej wątpliwości, że dyabeł pomagał Rienzemu: przecieżby się nie był wyniósł tak wysoko z takiego chłystka, jakim był.

LIPPO. A to niech go dyabeł bierze jak swego. Ale powiedz mi, Beppo, co będzie teraz jak powrócą Colonnowie?

BEPPO. Wszystkiego i najmędrszy człowiek nie jest w stanie przewidzieć; ale to pewna, że jak znajdą skarby Rienzego, to je rozdzielą między lud.

LIPPO. To mi się podoba, prawdziwie zacne dusze i wielcy panowie! (*wykrzykuje*). Niech żyją Colonnowie! (*słychać za sceną kroki i szczęk pałaszy*).

BEPPO. Cicho, głupcze! nadchodzą jacyś zbrojni. Uciekajmy! (*zmykają wszyscy*).

(*Wchodzą uzbrojeni Rienzi, Guido, Locciolo, Mancino, z nimi Paola i kilku zbrojnych*).

SCENA VII i ostatnia.

Rienzi, Guido, Locciolo, Mancino, Paola, kilku zbrojnych, później *Guallato.*

RIENZI. Hańba i wstyd wieczny! jesteśmy zwyciężeni! Podły motłoch zwrócił się przeciwko mnie. Właśni żołnierze zbiegli z pod moich chorągwi.

MANCINO. Klątwa sprawiła to wszystko. Inaczej Colonnowie nie byliby przekroczyli murów miasta.

RIENZI. Nie będzie nawet można trzymać się już dłużej w zamku Świętego Anioła z małą garstką, co nam wierną pozostała. Nie mogę was przecież poświęcać daremnie dla straconej już sprawy. Byłoby to szaleństwem.

GUIDO. Nie myśl o nas, myśl tylko o własnem niebezpieczeństwie.

RIENZI. O życie nie dbam wcale; nie oszczędzałem się dziś, wspólnie z nami walcząc rozpaczliwie do końca. Ale ginąć bez celu, nic nie dopiąwszy, to także nie przystoi. Trzeba szukać dróg innych i innych środków. Jednak to okropnie pomyśleć sobie, że wszystko w jednej chwili stracone. O, gdyby nie ten lud nikczemny, bylibyśmy zwycięzcami. Nędzny naród tchórzów i zdrajców!

GUIDO. Nie obwiniaj go, ani mu nie złorzecz Czyż on może rozumieć, co jest dla niego

złem a co dobrem? czyż ma skąd czerpać szlachetniejsze popędy? Wieki ciemności i ucisku nie dadzą się zatrzeć w jednej chwili. Trudno więc żądać od niego heroizmu, a nawet spełnienia prostej powinności.—Dodaj jeszcze, że klątwa kościelna ma niesłychaną potęgę nad temi słabemi umysłami.

RIENZI. Masz słuszność, a przecież jakże gorzko widzieć się opuszczonym i zdradzonym przez tych, dla których dobra życia się poświęciło! (*słychać krzyki za sceną*). Słyszysz te odgłosy? to ten poczciwy ludek raduje się z mojego upadku.

GUIDO. Tymczasem potrzebaby postanowić, co nam czynić wypada.

RIENZI. Moje postanowie jest niezachwianem, chociażby wszystko zacząć od początku na nowo, byle ostatecznie dokonać powzięte zamiary. Wszystko zniosę, nawet wstyd i upokorzenie, ale dojść muszę do celu.

LOCCIOLO. Na teraz nie pozostaje ci nic, jak tylko uchodzić z Rzymu; dłuższy twój pobyt w mieście zgubiłby cię bez ratunku.

MANCINO. I ja tak sądzę. Colonnowie nie przebaczą dawniejszych klęsk, które ich tyle ofiar kosztowały.

RIENZI. Pójdę za waszem zdaniem, jeżeli mi się nie uda ostatnia próba, bo i ja postanowiłem w ostateczności puścić się w świat i szukać

poparcia u obcych. Ale teraz czekam jeszcze na GualIata, którego wysłałem do kardynała z przedstawieniem, że gotów jestem zgodzić się na jego warunki. Słyszysz, Guido, gotów jestem upokorzyć się przed nim.

GUIDO. Nie czas to wprawdzie na wymówki, ale czyż nie lepiej było nie doprowadzać rzeczy do ostateczności i przystać przedtem na jego żądania?

RIENZI. Nie przystałem, bo takie ustępstwo strasznie mię oddala od celu; sądziłem, że jestem panem położenia: więc nie chciałem się cofać niepotrzebnie. Omyliłem się, ale każdy może zbłądzić.

LOCCIOLO Słychać jakieś kroki po moście. (*idzie w głąb sceny i woła*) Kto tam? (*głos za sceną*) Swój.

RIENZI. To Guallato.

(*Guallato wchodzi*).

RIENZI. I cóż?

GUALLATO. Nic się nie dało zrobić. Kardynał nie chce słuchać o zgodzie.

RIENZI. Tem lepiej! Będę miał wprawdzie więcej trudności do zwalczenia, ale też nie będę tak skrępowany potem. (*zwracając się do towarzyszy*) Czas się nam rozstać. (*do Guida*) Guido! tobie powierzam opiekę nad Paolą.

PAOLA (*ze wzruszeniem do siebie*). Jemu!

GUIDO. Możesz liczyć na mnie.

PAOLA (*przystępując do Rienzego*). Rienzi, weź mnie ze sobą, nie zostawiaj mię samą w Rzymie: żona przecież powinna dzielić wszystkie losy męża.

RIENZI. Nie wiesz, czego się napierasz; kto wie, co będzie moim udziałem, może tułactwo, nędza, więzienie...

PAOLA. Tem więcej błagam cię, weź mię z sobą; zniosę chętnie wszystko, byle ci być pomocą i pociechą w złej doli.

RIENZI. Dziecko jesteś, moja Paolo. Teraz wydaje ci się tak łatwo udać się ze mną bo nie przewidujesz, jakiemi ofiarami przyszłoby ci ten krok okupić; ale ja, który widzę jasno, co mię czeka, nie mogę na to zezwolić.

PAOLA (*z mocą*). A jednak powinieneś! Ci, co się rozstaje ze sobą, nie mogą liczyć, że się kiedyś tymi samymi spotkają w przyszłości. Oddalenie zrywa często najświętsze węzły. Powtarzam ci, Rienzi: powinieneś wziąść mnie z sobą.

RIENZI. Żądasz rzeczy niemożliwych; byłabyś mi tylko zawadą w moich zamiarach. Wierzaj mi, potrzeba się nam rozłączyć. (*całuje ją w czoło*) Żegnaj mi: będziesz tu miała najlepszą opiekę Guida i wszystkich moich przyjaciół.

LOCCIOLO. Wszyscy będziemy czuwać nad tobą.

PAOLA (*z rezygnacyą*). Niechże więc i tak będzie.

RIENZI. A więc teraz żegnajcie, moi drodzy.

GUIDO (*ściskając go za rękę*). Do widzenia, Rienzi, bo ty musisz powrócić do Rzymu.

MANCINO. Będziemy wyczekiwać niecierpliwie tej chwili.

RIENZI. O tak! klnę się na wszystkie świętości, że jakiekolwiek będą przeszkody, powrócić muszę z tryumfem tu, skąd haniebnie dzisiaj wypędzonym zostaję. Śmierć tylko jedna może mnie zatrzymać na tej drodze, po której idę, nie swoją, ale Rzymu wielkość mam na celu. Lecz biada tym, co mi opór stawią!

LOCCIOLO. Idź i wracaj zwycięzcą.

RIENZI. Żegnajcie! do widzenia!

(*Rozchodzą się Guido, Paola, Locciolo, Mancino w jedną stronę; Rienzi w drugą*).

ZASŁONA SPADA.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

SCENA I.

Plac przed kościołem.

Cecco, Guallato, Mancino.

MANCINO (*w rozmowie z Guallatem; Cecco zbliża się do nich*).

CECCO. Czy wiecie o najświeższych wiadomościach?

GUALLATO. Wiemy, że Rienzi z nowozaciężnem wojskiem bije Colonnów na każdym kroku i zajmuje kolejno wszystkie miasteczka należące do ojcowizny Ś-go Piotra.

CECCO. Ale nie wiecie może, że, rozprawiwszy się z ostatniemi ich siłami i zająwszy Viterbo, lada chwila może wejść do Rzymu.

MANCINO. Któżby się spodziewał takiego obrotu rzeczy!

CECCO. Kocią naturę ma ten człowiek: zrzucić go na łeb, a zawsze padnie na nogi.

GUALLATO. To prawda! Po każdej nieudanej próbie, gdy już myśleliśmy, że przepadł na dobre, on zawsze na wierzch wypłynął.

Wypędzony z Rzymu, spiskuje w Civita Vecchia. Gdy to się wydaje i mają go schwytać, znika i zjawia się znów potajemnie w Rzymie, znajdując przytułek na przekór wszelkiemu prawdopodobieństwu, u jednego z Orsinich. Zdradza go wreszcie jeden ze służących i kardynał posyła ludzi, aby go uwięzić; oho! zastają gniazdko próżne, ptaszek już uleciał.

MANCINO. Wówczas próbują szczęścia w Neapolu u króla Ludwika, na którego względy liczył. Odmawiają mu pomocy: i tem się nie zraża. Podejmuje śmiałą myśl, i, zebrawszy pieniądze od swoich stronników, umawia się z kondotierem Wernerem o utorowanie mu drogi do Rzymu za wypłatą znacznej sumy. O mały włos byłoby się udało, ale kradną mu pieniądze w drodze, umowa nie dochodzi do skutku, wszystko się wydaje—i znów musi uciekać z Neapolu.

GUALLATO. W tym razie jak sprytny lis chowa się w jamę i osiada między zakonnikami na pustelni Monte Majella.

MANCINO. Myślałem, że w rzeczy samej zrozpaczony postanowił wyrzec się świata; ale gdzie tam! po roku pustelniczego życia powraca znów do Rzymu i zarabia na nową ekskomunikę.

GUALLATO. Ścigany wszędzie przez złe losy, zawsze umiał się wykręcić. Dopiero gdy go cesarz kazał uwięzić w Pradze i wydał następ-

pnie papieżowi do Avignonu, myślałem, że już po nim.

CECCO. I byłoby z nim źle. Osadzono go pod najściślejszą strażą w ciemnej wieży, gdzie nikt do niego nie mógł mieć przystępu. Na jego szczęście, umiera w sam czas papież Klemens VI.

MANCINO. A jego następca, Innocenty, nie miał nic spieszniejszego do roboty, jak go uwolnić, rozgrzeszyć i za jednym zamachem zrobić senatorem, powierzając mu na nowo władzę nad Rzymem.

GUALLATO. Co chcecie? tak wymagała zdrowa polityka. Przewinienia Rienzego poszły w przedawnienie, a tymczasem niebezpieczniejszymi stolicy świętej wrogami stali się baronowie, którzy rozgrabili między siebie całe dziedzictwo Ś-go. Piotra. Papież więc potrzebował kogoś, coby im wydarł z gardła wszystko, co zabrali i ujął ich w przyzwoite karby. Miał pod ręką Rienzego, którego znał energię i wytrwałość: więc go użył.

MANCICO. Ale, że też się nie obawiano powierzyć mu władzy, wiedząc z doświadczenia, że Rienzi gotów wszystko robić na swoją rękę i wykwitować jak najpiękniej stolicę świętą!

GUALLATO. Wtenczas znajdą sposób i na niego. Cała ich sztuka zasadza się na tem, że

nie mając własnej siły, potrafią bić jednego nieprzyjaciela drugim i zawsze na tem wygrywać.

MANCINO. Tak się wszystko dziwnie złożyło. Nasz ludek też tymczasem, ośmielony wieściami, rzucił się na władających w Rzymie Orsinich i Colonnów. Pomordował i porozpędzał ich na wszystkie strony. Tak więc Rienzi ma teraz ze wszech miar utorowane pole.

GUALLATO. Tak!... Rienzi obejmie rządy bez żadnej trudności. Dawniej życzyłem sobie tego bardzo gorąco; dziś zaczynam się obawiać

CECCO. Cóż sądzicie?

GUALLATO. Słyszałem, że w skutek tylu przejść charakter trybuna zmieniał się coraz-to na gorsze. Stał się, jak mówią, skrytym, podejrzliwym, mściwym i okrutnym. Otóż boję się, żeby, powróciwszy, nie chciał mścić się za swój poprzedni upadek i nie zaczął nas uciskać gorzej niż wszyscy Colonnowie.

MANCINO. I mnie czasami podobna myśl przebiega.

CECCO. Był jednakże na to sposób; szkoda tylko, żeście wprzód o nim nie pomyśleli. Można było zabezpieczyć się zupełnie, nie występując wcale przeciwko Rienzemu.

MANCINO. Jakiż to sposób? mów!

CECCO. Mieliście wolne pole do działania, mogliście skorzystać z nieobecności Rienzego i,

znając popularność, jaką ma Guido u ludu, zaraz po wypędzeniu baronów ogłosić go trybunem. Tym sposobem Rienzi, powróciwszy tutaj, musiałby się zastosować do woli ludu i przyjąć Guida za współuczestnika w rządach; udział zaś Guida w rządach byłby dla nas najlepszą rękojmią.

GUALLATO. Znakomite miewasz pomysły, Cecco! Wykradłeś mi tę myśl z mojego mózgu. Czemuż na nią wcześniej nie wpadliśmy! Ale może jeszcze nie zapóźno: wartoby spróbować.

MANCINO. Trzebaby koniecznie spróbować! — Guido jest człowiekiem, któremu można bezwarunkowo zaufać! — Rzecz cała da się łatwo przeprowadzić; posiada on bowiem ogólną miłość i zaufanie. Ale jak się wziąć do tego?

GUALLATO. Należy najpierwej rozmówić się z nim i skłonić do przyjęcia władzy. Musimy odszukać go natychmiast.

CECCO. Nie potrzebujecie szukać go daleko Paola modli się teraz w tym kościele; niezawodnie za chwilę zjawi się i Guido. Wypatrzyłem go, że zazwyczaj przychodzi po nią i odprowadza do domu. Biedny Guido jest zakochany w niej po same uszy, choć może sam sobie nie śmie tego wyznać. Już to skrupulat, jak k mało. Takiemu bezpiecznie można powierzyć swoją żonę (*śmieje się*).

GUALLATO. (*śmiejąc się także*). To jedno

rzuca plamę na jego charakter. Inaczej byłby doskonałym.

MANCINO. Nie śmiejcie się z niego; są rzeczy, których można nie dopełniać samemu, ale które w drugich uszanować należy.

CECCO. (*patrząc za kulisy*). Patrzcie! nie mówiłem? oto się zbliża. Zostawiam więc was samych. Moja obecność mogłaby być przeszkodą, bo Guido nie ma jakoś do mnie zaufania. Lepiej nawet będzie dla całej sprawy, jeżeli nic nie wspomnicie o mnie (*oddala się spiesznie na lewo; Guido wchodzi powoli, zamyślony, z prawej strony*).

SCENA II.

Guallato, Mancino, Guido.

GUALLATO. Ty zacznij, panie hrabio: jesteś najbliższym jego serca.

MANCINO (*postępując ku Guidowi*). Guido!

GUIDO (*spostrzegając ich*). Mancino, witaj! Witajcie, Guallato!

MANCINO. Mamy do ciebie wielką prośbę. Przyrzecz, że jej nie odrzucisz.

GUIDO. Zrobię dla was wszystko, co będzie w mojej mocy: czyż możecie wątpić o tem?

MANCINO. Chodzi tu o dobro ogółu.

GUIDO. Tem bardziej macie mię na usługi.

MANCINO. A więc przystępuję wprost do rzeczy. Potrzeba, żebyś się dał skłonić i stanął teraz u steru rządu, tak, jak tego lud sobie życzy.

GUIDO. Ja miałbym to uczynić? nigdy!

MANCINO. Ależ, Guido zastanów się. Wszystkich oczy zwracają się na ciebie. Twoje rządy przywróciłyby ogólne zaufanie, pogodziłyby wszystkie sprzeczne żywioły, ustaliłyby porządek, spokój i pomyślność. Nie chciałżebyś zrobić z siebie tej ofiary?

GUIDO. Byłaby to zdrada z mej strony brać władzę w chwili, kiedy Rienzi powraca.

GUALLATO. Nie byłoby w tem najmniejszej zdrady: owszem, oddalibyście najwyższą przysługę Rienzemu, dzieląc słę z nim władzą i utrwalając tym sposobem jego stanowisko, które samo przez się jest już zachwiane w oczach ludu. Przez Boga! zgodźcie się na nasze przedstawienia. Dopomożecie Rienzemu i spełnicie zarazem tajne życzenia całego kraju.

GUIDI. Wszystko to pięknie wygląda w słowach waszych; ale wziąść teraz władzę bez woli i wiedzy Rienzego — powtarzam, że to-by było niegodnie i niczem nie dałoby się usprawiedliwić.

MANCINO. A więc odmawiasz!

GUIDO. Przykro mi, że muszę wam odmówić. Żądacie niemożliwości.

GUALLATO. Zostawiamy wam czas do namysłu. Pomówimy o tem innym razem, kiedy się sami przekonacie o konieczności podobnego kroku.

GUIDO. Ani teraz, ani potem, ani nigdy!

MANCINO. Szkoda ciebie, Guido, mógłbyś oddać usługi krajowi, ale nic nie zdziałasz przez wygórowaną szlachetność. Gdy uczciwi ludzie umywają ręce od wszystkiego, pozostawiają wolne pole tym, co, niemając skrupułów, idą i zwyciężają z krzywdą ogółu. Żegnaj.

(*Mancino odchodzi, a z nim i Guallato*).

SCENA III.

Guido sam.

GUIDO. Uraziłem ich odmową: to dziwna! przecież nie mogli przypuszczać, ażebym się na to zgodził. Szalony pomysł. Lepiej nie myślmy o tem (*zamyśla się*). Należy uprzedzić Paolę, że Rienzi za chwilę będzie w murach miasta. Ona nie wie jeszcze o niczem i modli się swoim zwyczajem w kościele. Szczęśliwy Rienzi powraca z tryumfem po tylu latach próby. Powinienbym się cieszyć jak najszczerzej, a jednak nie mogę. Tak się już przyzwyczaiłem do roli

opiekuna i przyjaciela Paoli; tak mi wypełniały życie te wszystkie starania, któremi ją otaczałem. Ona była tak dobrą, okazywała mi tyle przyjaźni, tak umiała być wdzięczną za każdą przysługę; a ja uwielbiałem ją w skrytości, chociaż sam o tem dobrze nie wiedziałem. Dziś dopiero, gdy mam ją utracić, ból, jaki uczułem otworzył mi oczy. Tak jest, ja ją kocham... ale to nikczemnie z mej strony. Muszę, powinienem zapomnieć o niej. Dotychczas nie zawiodłem położonego we mnie zaufania i nie zdradziłem się niczem przed nią; należy spełnić powinność do końca. O, serce ludzkie! jakie ty słabe jesteś, że potrzeba walczyć z tobą jeszcze tam, gdzie chodzi o honor lub hańbę! (*spostrzega Paolę schodzącą po stopniach z kościoła i zwraca się ku niej*).

SCENA IV.

Guido i Paola.

PAOLA. (*podbiegając do Guida, wesoło*). Byłam pewną, że was zastanę tutaj czekających na mnie, by mi towarzyszyć do domu, i nie omyliłam się. Przeczucie moje rzadko mnie zawodzi.

GUIDO. Dziś nie mogło zawieść tem więcej, że mam coś ważnego do powiedzenia.

PAOLA. Coś bardzo ważnego?

GUIDO. Tak, tak, i zarazem bardzo żywo was obchodzącego.

PAOLA. Macie mi co do powiedzenia o sobie?

GUIDO. Nie, coś lepszego. Rienzi za chwilę będzie w Rzymie, a może już w nim jest nawet.

PAOLA. (*zachwiawszy się*). Ach!

GUIDO. (*podtrzymując się*). Pani! Paolo! Co ci jest? Na Boga, uspokój się. Byłem nieostrożnym, zapomniałem, że i zbytnia radość także zaszkodzić może.

PAOLA. To nie radość, Guido.

GUIDO. Jakto?

PAOLA. To cię zadziwia i oburza zarazem, że żona nie cieszy się z powrotu męża.

GUIDO. Przebacz pani, ale nie umiem zdać sobie sprawy z tego, co słyszę w tej chwili.

PAOLA. Ale ja, niestety, umiem sobie zanadto dobrze zdać sprawę z tego, co mówię i co czuję. Ja nie kocham Rienzego, a co więcej, ja się go teraz boję.

GUIDO. Ty nie kochasz, Rienzego? nie chcę, nie mogę temu wierzyć.

PAOLA. Wysłuchaj mnie wprzódy, a potem pogardź mną, jeżeli zdołasz. Kiedym oddała rękę Rienzemu, byłam młodą dziewczyną i marzącą o miłości jako o wieczystym, związku dwóch serc żyjących w sobie i dla siebie. On wówczas, otoczony już blaskiem wzrastającej

sławy, wydał mi się jak bohater lub bóstwo jakie, zstępujące z nadziemskich krain, żeby mnie podnieść i uszczęśliwić. On pierwszy przemówił do duszy mojej czarownym językiem miłości nic więc dziwnego, jeżelim sądziła, że w objęciach jego osiągnę najwyższe szczęście na ziemi i że będę mogła kochać i być kochaną tak, jak to ja pojmuję. Wkrótce jednak przekonałam się, że w życiu Rienzego nic znaczyć nie mogę. Ujrzałam niezmierzoną przepaść nas dzielącą, którą napróżno przebyć usiłowałam. On, zawsze zamknięty w sobie, nieprzystępny, zbywał mnie jak dziecko, na wpół wzgardliwie, uśmiechem lub pieszczotą. Nigdy nie podzielił się ze mną swojemi myślami, swoją troską i nadzieją, a kiedym chciała czasem znaleźć przystęp do jego duszy, obchodził się ze mną jak z pierwszym lepszym natrętem, śmiejąc się z mych obaw lub troskliwości i uważając miłość moją za dziecinną i przesadzoną. Znosiłam to wszystko w cichości i bez szemrania, schodząc dobrowolnie na stanowisko niewolnicy, jakie mi wyznaczył, i jakkolwiek wymierało powoli w piersiach moich to uczucie, którego nie mogłam zaspokoić, podtrzymywała mnie wiara w szlachetność Rienzego i zacność jego przedsięwzięć. Ale potem, po wyniesieniu się jego, zaczęło być gorzej. Musiałam być świadkiem wielu rzeczy, które mimo woli rodziły w umyśle moim straszne wątpliwości, i przyszłam powoli do przekonania, że ten człowiek nie ma serca, i że nic i nikogo kochać nie potrafi. Wtedy zaczęła się prawdziwa męka;

a jednak sam byłeś świadkiem, że w chwili upadku i nieszczęścia sama błagałam go, aby mi pozwolił pójść i dzielić wszystkie losy swoje. Chciałam iść za nim, nie kochając go już wcale, byle spełnić mój obowiązek do końca; (*z siłą*) ale on odepchnął mnie wtedy ze wzgardą; więc i teraz prawa do mnie mieć nie może.

GUIDO. Niesprawiedliwą jesteś pani dla Rienzego. Jeżeli nie chciał zezwolić, byś mu towarzyszyła, to właśnie przez wzgląd, by ci oszczędzić trudów i niebezpieczeństw.

PAOLA. Tak rozumują ci, co kochać nie umieją. Dla nas, kobiet, jest potrzebą serc naszych ponosić ofiary, i kochamy tem silniej i goręcej, im więcej możemy się poświęcać. A cóż powiesz, jeżeli dodam jeszcze, że chciałam uciec wtedy przed innem rodzącem się we mnie uczuciem ?

GUIDO. Przed innem uczuciem, Paolo?

PAOLA. Nie zataję nic teraz! Byłabym milczała, gdyby wszystko mogło zostać tak, jak było; ale gdy za chwilę mam znowu być niewolnicą Rienzego, muszę mówić. Zaczynałam już kochać wtedy, ale usiłowałam przezwyciężyć głos własnego serca i, gdyby Rienzi pozwolił mi pójść za sobą, miłość moja pozostałaby tajemnicą między mną a Bogiem. Ale ja czemże byłam dla niego? zawadą, którą z drogi usunąć potrzebował. Zostawił mię mojemu losowi i oddał twojej, Guido, opiece. Z tą chwilą zaczęło

się dla mnie nowe życie. Uczułam się jak więzień wyprowadzony z lochów ciemności na światło dnia pogodnego. Odżyłam na nowo pod wpływem twego szlachetnego serca, znalazłam spokój i szczęście niewysłowione, i nie śmiałam nic pragnąć, nic żądać, tylko prosiłam Boga, aby ten stan rzeczy mógł trwać wiecznie.

GUIDO. Paolo, przez litość, przestań! bo wydobędziesz ze mnie słowa, których nigdy wyrzec nie powinienem.

PAOLA. Co znaczą słowa w obec tej prawdy, co w piersiach naszych się zamyka? Wiedziałam że cię kocham, i nie usiłowałam już dłużej walczyć z sobą, wiedziałam, że ty mnie kochasz, chociażeś mi tego nigdy nie powiedział, i dość mi było na tem.

GUIDO. Tak, Paolo! kochałem cię i kocham całą potęgą duszy mojej; a jednak miłość pomiędzy nami—to zbrodnia!

PAOLA. A więc, to nie jest miłość!—Wynajdź inne słowo, słowo, którego niema w żadnym ziemskim języku, a którego brzmienie będzie tak czyste i nie skalane, że nie zdoła rzucić cienia na twoją duszę.

GUIDO. Takich słów i takich uczuć niema na ziemi! Nie, Paolo, ja cię kocham tak, jak każdy inny człowiek; namiętnie, rozpaczliwie, występnie.

PAOLA. Kochasz mię, tak?! a więc uciekajmy razem. Zapomnijmy o wszystkiem, o prze-

szłości, obowiązkach, o cnocie, i schrońmy się z miłością naszą gdzieś daleko, gdzie nas ani ludzie, ani Bóg nie wyśledzi.

GUIDO. (*z pomięszaniem*). Dobrze mówisz: zapomnijmy o wszystkiem: uciekajmy, zdradźmy zaufanie, zdepczmy honor, okryjmy się niesławą; ale żyjmy dla siebie i dla miłości naszej!

PAOLA. (*rzucając mu się na szyję*). A więc jesteś mój na wieki! Uchodźmy stąd czemprędzej.

GUIDO. Uchodźmy! (*nagle zatrzymuje się i zamyśla po pauzie*). Nie, Paolo, miłość nasza nie może mieć przyszłości. Sama-byś mi złorzeczyła potem, żem ci był pokusą do tego kroku. Czyż może ostać się szczęście oparte na występku?—Czuć wieczny wyrzut sumienia, który ciężyć będzie nad nami, nie zatruje nam wszystkich chwil i nie zrobi z nas raczej galerników przykutych do jednego łańcucha?

PAOLA. Nie chcę myśleć o przyszłości; ja chcę żyć teraźniejszością tylko. A zresztą, czyż istoty ludzkie nie mają wrodzonego prawa dobijać się i walczyć o swoje szczęście?

GUIDO. Szczęście nie jest w naszej mocy. Nasze świetne marzenia, heroiczne porywy, wrzące uczucia, wszystko to z czasem powoli przemija i ginie. Umiera w nas bohater, umiera i kochanek, a pozostaje tylko słaby człowiek, któremu jedynie poczucie wypełnienia swych obowiązków dać może spokój i pogodę.

PAOLA. Jesteś zbyt przewidującym. Prawdziwa miłość nie bada i nie rozważa tak głęboko. Powiedz lepiej, że mnie nie kochasz.

GUIDO. (*z rozmysłem*). Tak, Paolo, masz słuszność, lepiej cię nie łudzić. Ja cię nie kocham.

PAOLA. (*z wykrzykiem*). Kłamiesz! (*dotykając rękojeści sztyletu*). Nie kłam tak, Guido, bo za to kłamstwo gotowa jestem zabić się, zabiwszy ciebie.

GUIDO. Paolo, przyjdź do siebie! Czy myślisz, że ty sama cierpisz? Gdybyś wiedziała co się w mojem sercu dzieje, tobyś nie mówiła, że kochać nie potrafię. Ale my powinniśmy wznieść się nad ból i mękę i być godni siebie nawzajem. Ja cię kocham tyle, że chcę cię raczej widzieć nieszczęśliwą niż występną.

PAOLA. Przebacz, przebacz! Zrobię wszystko, co rozkażesz, tylko nie mów poraz drugi, że mnie nie kochasz.

GUIDO. Chodźmy na spotkanie Rienzego.

PAOLA. Jestem gotową.

(*Odchodzą powoli na lewo, z prawej strony tymczasem wchodzi Agata na czele młodych dziewczyn, ubranych świątecznie, z koszykami kwiatów*).

SCENA V.

Agata i *Dziewczyny.*

AGATA. Śmiało! śmiało! moje aniołeczki. Trzeba nam pójść do samej bramy, żeby tam zaraz na wstępie usłać drogę jasnemu senatorowi, jak będzie wjeżdżał. Spodziewam się, że będzie zadowolony z przyjęcia. Wybrałam same najpiękniejsze kwiaty i najpiękniejsze twarzyczki z całego Rzymu. Pamiętajcie tylko, moje piękne, rzucać z gracyą, kwiaty, tak, jak to was uczyłam (*pokazuje im na nowo*).

(*Wchodzą Beppo i Lippo, z nimi cała gromada rzemieślniczej młodzieży, świątecznie ubranej. Lippo niesie chorągiew, na której napis z jednej strony: Niech żyje senator, — z drugiej: Swojemu wybawcy wdzięczni krawcy*)-

SCENA VI.

Agata, dziewice, *Beppo*, *Lippo* i ich towarzysze

BEPPO! A! pani Agata tutaj? No, proszę, góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem zawsze. Zdążacie zapewne na spotkanie naszego wielkiego przesławnego senatora wraz z temi ślicznemi buziaczkami. Macie dobry gust, pani Agato. Co to za pieszczotki! (*zaczyna się zalecać do dziewcząt*).

AGATA. A dajże pokój moim niewinniątkom. Nie pora teraz na zaloty.

BEPPO. Ale- bo widzicie, trudno oderwać oczów od tych cukiereczków. Dalipan, jak-em Beppo, gotów-bym zaraz ożenić się ze wszystkiemi.

AGATA. Widzicie go, jaki mi basza turecki! Ruszaj lepiej swoją drogą i nie zatrzymuj nas, abyśmy na czas zdążyły.

BEPPO. Królowo moja, nie bądź tak srogą! czasu dość mamy. A wszakże i ja zdążam z całem tem szanownem gronem krawieckiego cechu uczcić przybycie przenajjaśniejszego senatora kantatą mojej kompozycyi a jaka jest, niech powie Lippo (*wchodzi Cecco i na boku przysłuchuje się*).

LIPPO. Siarczyście piękna! nie podobna nic piękniejszego wymyślić.

BEPPO. Jeżeli chcecie, możemy wam zaśpiewać zaraz.

AGATA. Schowaj się na potem, mój Beppo, żeby ci głosu czasem nie zabrakło. (*do dziewcząt*). Chodźcie, moje anioleczki; nie traćmy czasu na takie głupstwa.

(*Odchodzi z swym orszakiem*).

SCENA VII.

Beppo, Lippo i *Cecco.*

BEPPO (*do Lippa*). Mój Boże! jaka to jeszcze ciemnota. Komponuj tu arcydzieła, kie-

dy ich nie chcą słuchać. I ma tu być dobrze!

LIPPO. Ale Rienzi pewnie się pozna i obsypie nas złotem za taką sztukę.

BEPPO. A co to — to niezawodnie. Musimy tylko śpiewać i krzyczeć: Niech żyje Rienzi! co tylko gardła stanie.

CECCO. (*postępując naprzód*) Zacny obywatelu Beppo!

BEPPO. A waszmość skąd mię znasz?

CECCO. Któżby nie znał sławnego Beppa.

BEPPO do LIPPA. To jakiś do rzeczy jegomość.

CECCO. Otóż, sławny obywatelu, chciałem ci powiedzieć rzecz, o której zapewne sam wiesz doskonale.

BEPPO. Wiem, wiem, wiem wszystko z góry, ale nic nie szkodzi: mówcie.

CECCO. A więc musicie wiedzieć o dawnej przyjaźni, jaka łączy Rienzego z Guidem?

BEPPO. A to się ma rozumieć.

CECCO. Musieliście zatem zrobić ten wniosek że przyjemnie-by było Rienzemu w chwili, gdy go przyjmować będziecie, usłyszeć w okrzykach swoje imię połączone z imieniem Guida.

BEPPO. O, ja to zaraz pomyślałem: nie prawdaż Lippo?

LIPPO. Nic mówiłeś nic o tem.

BEPPO. Możeś nie dosłyszał.

CECCO (*ciągnąc dalej*). Rienzi bezwątpienia okazałby swoją wdzięczność,gdybyście, wołając: Niech żyje Rienzi! dodawali także: Niech żyje Guido!

BEPPO. Ależ to jasne jak na dłoni! (*do towarzyszy*). Pamiętajcie wołać także: Niech żyje Guido! (*zamyśla się*). Trzeba będzie dodać także coś w tym sensie do naszej kantaty. (*po chwili*). Już mam: słuchaj Lippo!

Nasz Senator i nasz Guido
Niechaj zawsze w parze idą!

LIPPO. Co za człowiek z ciebie, mój Beppo!

CECCO. Przecudownie, doskonale! przewyższyłeś sam siebie, panie Beppo.

BEPPO. Zbytek łaski. Ale trzeba ruszać dalej w drogę. (*do Cecca*). Upadam do nóg łaskawemu panu (*odchodzi z Lippem i z towarzyszami*).

CECCO. (*patrząc za nim*) Idź wrzeszczeć, głupcze; dostaniesz nagrodę, jakiej się nie spodziewasz (*odchodzi*).

(Zmiana dekoracyi).

SCENA VIII.

Sala w pałacu Senatorów na Kapitolu. Rienzi siedzi na tronie, przed nim posłowie Perugii, dalej dziewice, deputacye obywateli, Agata, Beppo, Lippo, Cecco przy stopniach tronu).

RIENZI. (*do posłów, powstawszy*). Szlachetni wysłańcy Perugii! Pozwólcie mi złożyć na wasze ręce moje dzięki znakomitemu grodowi za życzliwość, jaką mi okazał, i za pomoc, jakiej mi udzielił (*podając im pergamin*). Zanieście mu ten układ wieczystego przymierza, przezemnie podpisany, i powiedzcie obywatelom Perugii, że Rienzi wdzięczym być potrafi i że w każdym wypadku mogą rachować na niego... Powiedzcie im dalej, że tylko jedność prowadzi do prawdziwej potęgi i że jeżeli zdołamy zachęcić przykładem naszym inne miasta i wciągnąć je do związku, wtedy dopiero będziem w stanie przywrócić tak upragniony porządek i spokój i zabezpieczyć się zarówno tak przed zewnętrznym jak i wewnętrznym wrogiem.

PIERWSZY Z POSŁÓW. Nie omieszkamy wypełnić waszego polecenia. Mieszkańcy Perugii z wdzięcznością przyjmą ofiarowane im przez was przymierze i dumni będą ze słów, które im przesłać raczyliście.

RIENZI. Żegnajcie mi więc, panowie.

DRUGI Z POSŁÓW. Niech was Bóg ma w swej opiece senatorze! (*odchodzą*).

RIENZI. (*zwracając się do ludu*) A teraz wam, obywatele rzymscy, i wam, piękne Rzymianki (*Agata kłania się z ostentacyą*), coście mi drogę usłały kwiatami, dziękuję z całego serca za życzliwe przyjęcie, jakiego doznałem. Obym, pracując dla waszego szczęścia, mógł mieć zawsze tę pociechę, że mi się odwdzięczacie zaufaniem, z jakiem się dzisiaj spotykam. Tymczasem na placu czekają was zastawione stoły; nie braknie tam niczego, a wino leje się strugami. Idźcie i biesiadujcie na cześć moją. Chcę aby ten dzień był dla wszystkich dniem radości i uciechy.

(*tłum wykrzykuje*: Niech żyje nasz senator. Niech rządzi nam jaknajdłużej! *poczem powoli zaczyna wychodzić*).

BEPPO I LIPPO (*wykrzykują*). Niech żyje Rienzi! niech żyje Guido!

RIENZI (*dosłyszawszy ostatni wykrzyk, z gniewem*). Dość tych krzyków! Idźcie i zostawcie mnie samego. (*do Cecca*). Ty możesz pozostać.

BEPPO. (*do Lippa, odchodząc*) Coś mu dzisiaj dogodzić trudno. Ile razy krzyknąłem: Niech żyje Guido! żeby się lepiej przypodobać zawsze spojrzał na mnie tak, jakby mu kto w gębę octu nalał; pocieszam się tylko tem, że, sobie dziś należycie pohulamy.

(*Wychodzą*).

SCENA IX.

Rienzi i *Cecco.*

RIENZI. Powiedz mi, Cecco, co znaczą te okrzyki na cześć Guida, które się dziś ciągle o moje uszy obijały? Wiem, że ty mnie najlepiej objaśnisz; dałeś mi bowiem podczas mojego tułactwa niejednokrotne dowody zmyślności i przywiązania.

CECCO. Hm! Guido stał się bardzo popularnym u ludu.

RIENZI. (*z przekąsem*) Guido popularnym? on, co się do niczego nie mięsza?

CECCO. Ha, właśnie, może dlatego, że się dotąd jeszcze nie mięszał, więc nie stracił uroku nowości. Jego imię jest na ustach wszystkich.

RIENZI (*zasępiając się coraz bardziej*). Nigdy-bym- tego nie przypuścił. Guido zaskarbił sobie łaski ludu: no, proszę (*zwracając się do Cecca*). A kto był ten bałwan, co mnie uraczył wraz z towarzyszami swymi kantatą, w której połączył mnie z Guidonem, i co potem jeszcze wydawał tu okrzyki na cześć jego?

CECCO. To jest niejaki Beppo, dusza ruchliwej czeladzi rzemieślniczej, a zarazem zagorzały wielbiciel Guida.

RIENZI. Trzeba będzie tego Beppa kazać schwytać i wpakować do więzienia. Niech się

nauczy milczeć (*zamyśla się*). Guido ma już stronnictwo między małem mieszczaństwem. Dziwna rzecz: może stać się niebezpiecznym w przyszłości.

CECCO. Niebezpiecznym — tego nie można powiedzieć. Za mało jest przedsiębiorczym, a przytem szczerze wam sprzyja. Wszakże ofiarowano mu władzę i błagano, żeby zajął wasze miejsce, a jednakże nie przyjął.

RIENZI. (*gwałtownie*) Ofiarowano mu władzę? co mówisz?

CECCO. Tak... ale powtarzam, że jej nie przyjął.

RIENZI. Błagano, żeby zajął moje miejsce, nic więcej. (*do Cecca*). I któżto taki poważył się rozporządzać mojem miejscem?

CECCO. Jakaś deputacya rzymskich obywateli, ale kto taki, dowiedzieć się nie mogłem, bo Guido tai osoby, chociaż otwarcie mówi o całej okoliczności.

RIENZI. Dlatego-to Guido unika mnie teraz i nie śmie mi śmiało spojrzeć w oczy. Zauważyłem tę zmianę, lecz nie wiedziałem czemu ją przypisać.

CECCO. Nie może się przecież czuć winnym, kiedy odmówił.

RIENZI. Może wymaga gorętszych próśb

i większego nacisku, aby mógł uledz przemocy.

(*Guido ukazuje się we drzwiach*).

CECCO. Otóż i on.

SCENA X. i ostatnia.

Rienzi, Cecco, Guido.

RIENZI. (*do Guida z naciskiem*) Nie raczyłeś wejść z nami do pałacu i być przytomnym uroczystemu wejściu memu w dawne moje prawa.

GUIDO. (*z lekkiem zakłopotaniem*) Wiedziałem, że nieobecność moja nie umniejszy świetności obchodu; a przytem trudno się było przecisnąć: więc zostałem na dole wraz z ludem i zabawiałem się rozmową z obywatelami.

RIENZI. (*z przekąsem*) I piłeś potem z nimi z jednego kielicha?)

GUIDO. (*dobrodusznie*) Jakbyś zgadł. Przyszedłem cię nawet namówić, żebyś i ty sam zeszedł ze mną na dół i choć przez chwilę podzielił ich zabawy. To-by ci przysporzyło wziętości.

RIENZI. Nie myślę sobie skarbić wziętości takiemi sztuczkami. Moje zapatrywania są różne w tej mierze od twoich.

GUIDO. Mój Boże! wszakże to rzecz bardzo niewinna. Ale może czujesz się zmęczo-

nym, więc cię nie chcę nudzić mojem nalega-niem.

CECCO. A w samej rzeczy, można być zmęczonym po odbyciu całego tego pochodu i po całogodzinnem przyjęciu w pałacu posłów i różnych deputacyi.

RIENZI. (*miarkując się*) Istotnie czuję się nie swój, krew mi uderza do głowy, i dla tego nawet mówiłem do ciebie z pewnem rozdrażnieniem.

GUIDO. Umiem być na to wyrozumiałym.

RIENZI. (*z przybranym spokojem*) Chciałem cię jeszcze zapytać, jeśli nie będzie natręctwem z mej strony: czy to prawda że ci ofiarowano władzę?

GUIDO. (*z uśmiechem*) A, prawda, zapomniałem ci powiedzieć o tem. Wystaw sobie, co za szalone głowy! przyjść do mnie z podobnym zamysłem!

RIENZI. A któż to był taki?

GUIDO. O! tego ci nie powiem, to już musi pozostać moją tajemnicą.

RIENZI. Jak widzę, zachowujesz względem mnie ostrożność.

GUIDO. Nie jest to ostrożność względem ciebie, ale zwykła zasada wszystkich uczciwych ludzi.

RIENZI. (*sucho*) Masz słuszność.

GUIDO. A zatem zostawiam cię, abyś odpoczął sobie; ja powrócę na plac, gdzie mnie czeka niejaki Beppo, bardzo pocieszna figura.

RIENZI. (*szydersko*) Idź do Beppa, idź! Tymczasem ja się położę (*Guido odchodzi.—Cecco śledzi wyraz twarzy Rienzego*).

RIENZI. (*patrząc za odchodzącym*) Tego człowieka należałoby usunąć z drogi. Dziś jest już groźnym dla mnie, jutro zaś może zgubić ze szczętem i mnie, i całą pracę moją. (*po chwili*). A jednakże jest to mój najlepszy przyjaciel, który się tyle razy dla mnie poświęcał. Co mam zrobić? — pomyślę o tem później.

ZASŁONA SPADA.

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT CZWARTY.

Teatr przedstawia salę w pałacu senatorów. — Po odsłonięciu zasłony, Rienzi siedzi pogrążony w myślach. — Cecco wchodzi przez wejście w głębi z pergaminem w ręku.

SCENA I.

Rienzi i *Cecco.*

CECCO. (*wchodząc*). Wyrok na Guida już wydany i potrzebuje tylko waszego potwierdzenia. Sędziowie jednomyślnie skazali go na karę śmierci (*podaje Rienzemu pergamin, Rienzi go bierze i kładzie na stole*).

RIENZI. Czy do samego końca wytrwał w milczeniu i nie chciał wyjawić tych, którzy-to niby w imieniu ludu po dwakroć mu władzę ofiarowali, namawiając do otwartego przeciw mnie wystąpienia?

CECCO. Nic nie powiedział: zatwardziały zbrodniarz!

RIENZI. Cecco! nie potrzebujesz grać komedyi ze mną. Gdy mowa o Guidonie, nazwisko zbrodniarza nie jest na swojem miejscu.

CECCO. Myślałem...

RIENZI. (*przerywając*). Myślałeś może, że potrzebuję wmawiać w siebie, że Guido rzeczywiście jest występnym i słyszeć go potępionym przez usta wszystkich, co mnie otaczają. Mówić o zbrodniach Guida to dobre dla tłumu, przed którym pokryć trzeba pozorami prawa to, co uważam za polityczną konieczność; ale kłamać samemu sobie i usprawiedliwiać czyn własny, piętnując hańbą taką szlachetną postać—nigdy! Takich ludzi można oddawać pod miecz katowski, ale znieważać ich się nie godzi.

CECCO. (*szyderczo*). Po cóż więc go chcecie pozbawiać życia, kiedy ufacie tyle jego szlachetności?

RIENZI. Po co? pytasz mnie o to, jakbyś nie wiedział jaka nieubłagana konieczność pcha mnie do tego kroku. Póki on żyje, nigdy spokojnym być nie mogę. Oczy wszystkich zwracają się na niego. Imię jego jest sztandarem, który w każdej chwili gotowi podnieść moi przeciwnicy, ażeby mnie, a co więcej, pracę moją, zniweczyć ze szczętem. Sama prawość jego charakteru robi go tem niebezpieczniejszym dla mnie. Po dwakroć oparł się pokusie: to dobrze; ale któż na przyszłość zaręczyć może? Zresztą, nawet bez jego wiedzy i woli gotowi inni skorzystać z jego wziętości u ludu i zadać cios stanowczy zamiarom moim, wołając: "Ustąp mu miejsca, bo on godniejszym od ciebie." A jednak pomimo tego wszystkiego, na przekór nieugiętej

dotąd mojej woli, zawahałem się poraz pierwszy w życiu i nie wiem co mam robić?

CECCO. Może ustąpić dobrowolnie miejsca Guidonowi, zanim sam na czele zbrojnego tłumu o to poprosi.

RIENZI. Zbytecznem jest twoje szyderstwo. Dopóki żyw jestem, nikomu ustąpić nie mogę. Któż bowiem inny odnajdzie klucz do tajemniczych planów, które żywię? któż inny odnajdzie dostateczną siłę do ich wykonania i tak jak ja poświęci wszystko jednej myśli? Biedny Guido! on mniej niż ktokolwiek drugi—on, idealny marzyciel, co się cofnie przed każdą ostatecznością, przed każdym gwałtownym krokiem. Z niego zrobionoby tylko narzędzie do zburzenia tego, co rozpocząłem, narzędzie, któreby potem skruszyła inna, silniejsza wola. I ja miałbym pozwolić na to, ja, który szedłem dotąd nieugięty, łamiąc po drodze wszystkie przeszkody; ja, co się wyrzekłem dla wielkości zadania, które stworzyłem, wszystkich najsłodszych uczuć człowieka, depcząc nielitościwie własne i drugich serca! Na cóżby się więc zdały wszystkie trudy i poświęcenia? na co gwałtowne czyny, które sumienie zwykłych ludzi potępia? na co wstyd, upokorzenie i boleści wygnania, które zniosłem?

CECCO. A więc—ten człowiek powinien zginąć.

RIENZI. Powinien zginąć!... powtarzasz, jak echo, słowa brzmiące nieustannie w głębi

mej duszy—słowa, które w ognistych zgłoskach cisną mi się nieustannie przed oczy, a przed któremi wzdrygam się mimowolnie. Widzę nieubłaganą konieczność tej ofiary, a mimo to jeszcze przemyśliwam jakby go ocalić. Gdyby można ocalić jego życie, chociażby kosztem stu innych głów, gdyby można wydrzeć mu tajemnicę: kto byli ci, co powzięli szaloną myśl przeniesienia na niego mej władzy, natenczas mógłbym tę myśl kiełkującą stłumić w zarodzie grozą i postrachem zalać potokami krwi: a Guido mógłby być ocalonym.

CECCO. Ale on nic nie wydał i nic nie wyda: na to przysiądz-by można.

RIENZI. Spróbuję jeszcze ostatniego środka (*klaszcze w dłoń, wchodzi jeden ze straży*). Przyprowadźcie mi tu natychmiast z dołu z sali inkwizycyjnej więźnia Pandolfa di Guido (*Straż odchodzi*).

CECCO. Co zamyślasz robić, panie?

RIENZI. Rozmówić się z nim osobiście.

CECCO. Po tem wszystkiem, co zaszło?

RIENZI. Czemużby nie? Czy sądzisz, że mam tylko odwagę, aby cios wymierzyć, a nie mam jej, aby spojrzeć w oczy mojej ofierze? Tacy ludzie, jak ja, oddani jednej wyłącznej myśli, nie oszczędzając drugich, nie oszczędzają też i samych siebie. Są oni wyżsi nad ból i trwogę, nad wstyd i zgryzotę, wyżsi nad wszelkie prawo. Nie wiem, czy ty mnie pojmujesz, Cecco?

CECCO. (*dwuznacznie*). Jesteście moim nauczycielem i mistrzem. Zaczynam was pojmować! Bo i ja odczuwam w mojej duszy, że, aby dojść do celu, wszystkie środki są dobre.

RIENZI. Tak, ale ten cel musi być wielkim i świętym.

CECCO. Każdy się takim wydaje w oczach tego, co do niego zdąża.

(*Rienzi się zamyśla, wchodzi straż z Guidonem*).

RIENZI. (*do straży*) Możecie teraz odejść i czekać w sieni dalszych rozkazów (*straż odchodzi*).

(*Do Cecca*). I ty, Cecco, odejdź także, zostaw nas samych (*Cecco odchodzi*).

SCENA II.

Rienzi i Guido.

(*Chwila milczenia*).

RIENZI. (*po pauzie*) Guido! ciebie musi zadziwiać, że, postąpiwszy z tobą tak, jak postąpiłem, śmiem jeszcze patrzeć ci w oczy i mówić do ciebie!

GUIDO. Mnie już nic teraz zadziwić nie może.

RIENZI. Sądzisz mię zapewne wyzutym ze wstydu i przypuszczasz, że pragnę się nasycić widokiem mojej ofiary.

GUIDO. Nie wydaję sądu o tobie. Wkrótce stanę sam przed Najwyższym Sędzią, który nas wszystkich sądzić będzie.

RIENZI. Guido! ja nie chcę, żebyś ty zginął. Kazałem cię przyprowadzić tutaj, ażeby pomówić z tobą jak cię ocalić.

GUIDO. (*powątpiewająco*). Ty chcesz mnie ocalić?

RIENZI. Nie wierzysz w szczerość moją?

GUIDO. Czyż możesz wymagać odemnie, abym ci wierzył?

RIENZI. A jednak tak jest: ja nie umiem kłamać. Wtrąciłem cię do więzienia to prawda; zawiesiłem wyrok śmierci nad tobą, i to także prawda: a jednak...

GUIDO. Pragnąłbyś, żeby ci to łatwiej przyszło. To daremnie! Są postępki tego rodzaju, że kto się na nie porywa, musi się wprzód dostatecznie uzbroić w odwagę. Ja ci jej dodać nie potrafię.

RIENZI. Odwagi mi nie zabraknie, choćby do najstraszniejszych rzeczy, jeżeli tylko uznam je za konieczne. Ale, Guido ja, który tak mało mam serca dla ludzi, ja ciebie kocham jednakże, ja ciebie kocham jeszcze.

GUIDO. Jeżeli to jest miłość, czemże będzie nienawiść twoja?

RIENZI. Zapewnienia miłości dziwnie brzmią w ustach kata wobec ofiary; a przecież

mówię prawdę: jesteś drogim dla serca mojego. Ale mimo to, jeżeli mi nie pozostawisz innego środka, muszę cię skruszyć jak zawadę stojącą mi na drodze i muszę, chociażby kosztem twego życia, zabezpieczyć przyszłość wszystkich włoskich krain, których zjednoczenie przysiągłem przeprowadzić.

GUIDO. Na złej drodze jesteś! Chcesz zbrodnią ubezpieczyć przyszłość? Czyż to nie szaleństwo?! Któż przyszłość zabezpieczyć jest w stanie? Czyż myślisz, że ze złego dobre powstać może? — Jeden występek prowadzi do drugich, i, usunąwszy kosztem strasznego czynu jednę przeszkodę z swej drogi, ujrzysz natomiast z przestrachem tysiąc nowych, które również usuwać potrzeba. Będziesz przymuszony zacierać nową zbrodnią skutki poprzedniej i tak bez końca, bez końca! A wśród tego bezowocnego trudu potępieńca, gdy się najmniej spodziewać będziesz, przyjdzie burza, niewiadomo skąd, i pogrzebie w ruinach i ciebie i wszystkie zamiary twoje!

RIENZI. Więc oszczędź mi pierwszego kroku na tej drodze, jeżeli nie przez wzgląd na siebie, to przez litość nademną. Będę mógł pójść spokojnie za głosem serca, jeżeli mi dasz dowód, iż, nigdy wrogowie moi nie zrobią z ciebie narzędzia by zniszczyć dzieło moje.

GUIDO. Jakichże ci dowodów potrzeba? Czyż ci nie wystarcza, że odrzuciłem wszystkie namowy?

RIENZI. To mi nie może wystarczyć. Potrzebuję wiedzieć: kto byli ci, co cię usiłowali popchnąć przeciwko mnie. Tych dosięgnąć muszę, bo inaczej nigdy spokojnym być nie mogę. Daj mi więc ten dowód prawdziwej przyjaźni, tę rękojmię przyszłości, i poświęć tych nędzników.

GUIDO. Życie moje jest w twoim ręku, ale nie będziesz w stanie zrobić ze mnie zdrajcy.

RIENZI. O, Guido! wyrzecz się chociaż raz dla dobra nas obudwóch twoich zbytnich skrupułów. Patrz! ja nie mam żadnej dumy wobec ciebie i błagam cię o to, jak o łaskę dla mnie. Nie unoś się przesadzoną szlachetnością, która nic nie ocala, ale raczej wszystko gubi. Pomyśl, czy nie zasługują na karę ci ludzie, co się wcisnęli pomiędzy nas, uzbrajając przeciwko sobie, co cię wystawili na więzienie, na śmierć, a sami ukrywają się bezpiecznie, nikczemni! korzystając z twego milczenia. Pozwól ich ukarać, wyjaw ich nazwiska: a powróci w nasze serca dawna ufność i wszystko będzie tak, jak było. Jest to czyn heroiczny, którego żądam od ciebie, ale nie powinieneś się przed nim cofać.

GUIDO. Nie, Rienzi! To wszystko, coś powiedział, nie zdoła zachwiać przekonań moich. Żadne najsubtelniejsze rozumowanie, żadna wymowa nie może zmienić fałszu w prawdę, ani też nadać nikczemności cechy heroizmu. Miałżebym dla ocalenia własnego życia, wydawać twojej zemście inne ofiary, które zaufały memu

honorowi? Byłoby to stokroć gorzej nie tylko dla nich, ale i dla mnie, i nawet i dla ciebie. Tak przynajmniej ja sam zginę, gdy tego konieczność wymaga, i śmiercią moją oszczędzę ci większego rozlewu krwi, któryby obarczył twoją duszę.

RIENZI. (*ponuro*). A więc to ostatnie słowo twoje?

GUIDO. Ostatnie, wyrzeczone do ciebie na tej ziemi.

RIENZI. Niech się więc spełnią losy twoje tak, jako chciałeś! (*otwiera drzwi i daje znak, straż wchodzi*).

(*do straży*).

Odprowadzić napowrót więźnia (*straż wychodzi z Guidonem*).

RIENZI. (*sam*). Niema już innego środka. Potrzeba wyrok potwierdzić i wykonać. (*idzie do stołu i bierze wyrok w rękę*). Nie myślałem, żeby to tak ciężko przychodziło. Czuję tak, jakby mnie kto za gardło dusił... Nazbyt duszno w tej sali; przejdę do innej (*wychodzi na lewo*).

(*Przez wejście w głębi wchodzą Gualiato, Mancino, z nimi Cecco*).

SCENA III.

Guallato, Mancino, Cecco.

GUALLATO (*we drzwiach do Cecca*). Spodziewam się, że senator wysłucha cierpliwie na-

szej prośby; nie przychodzimy tu bowiem samowolnie. Przychodzimy z ramienia ludu, wybrani na tłómaczy jego życzeń. Ale gdzież on jest?

CECCO. Był tutaj przed chwilą; musiał przejść do innej sali. Pójdę go odszukać i uprzedzić o waszem przybyciu.

GUALLATO. Zrób to, Cecco!

MANCINO. Powiedz mu, że nie odejdziemy stąd bez rozmówienia się z nim osobiście.

GUALLATO. Musimy spełnić przecież nasze posłannictwo.

CECCO. Dobrze, dobrze, przedstawię mu to wszystko. A więc zaczekajcie tutaj (*wychodzi na lewo*).

MANCINO. (*półgłosem do Guallata*). Gdy pomyślę, że szlachetny Guido ma odpowiadać za nasze zamysły, to bierze mnie ochota powiedzieć wręcz Rienzemu, że to myśmy chcieli wynieść Guidona na jego miejsce, przeczuwając, i słusznie, tyrana w dawnym trybunie.

GUALLATO (*tak samo do Mancina*). Byłoby to największym nierozsądkiem; zgubiłbyś nas bez ratunku, nie dopomógłszy nic Guidonowi. Owszem, i dla niego wówczas nie byłoby już żadnej nadziei. Dopóki my jesteśmy bezpieczni, możemy używać wszystkich środków dla ocalenia Guida. Jeżeli nam się nie uda wymódz teraz na Rienzim, ażeby go uwolnił, możemy się

uciec do energiczniejszych środków. Podburzymy lud, rzucimy się na więzienie i uprowadzimy go przemocą.

MANCINO. Tak—to rozumiem: siłą odbić Guida! Mało ufam wszystkim gadaninom. Przysięgnij mi, że dopomożesz do wykonania tego coś powiedział, a pod tym warunkiem milczeć będę. Inaczej nie zniosę, aby on zginął za nas i przez nas.

GUALLATO. Ależ przysięgam! tylko cicho, na miłość Boga! On już nadchodzi.

(*Wchodzą Rienzi i Cecco*).

SCENA IV.

Mancino, Guallato, Rienzi, Cecco.

RIENZI. (*surowo*). Czego żądacie panowie?

GUALLATO. Przychodzimy złożyć u stóp twoich, senatorze, prośby całego ludu, spodziewając się, że się do nich łaskawie przychylić raczysz.

RIENZI. Czegóż to więc cały lud żąda przez usta wasze?

GUALLATO. Błaga, abyście się zmiłowali nad Guidonem i nie dopuścili krzywdy jego. Wszyscy się wstawiają do was za jego uwolnieniem.

MANCINO. (*niecierpliwie*). Żądają sprawiedliwości.

RIENZI. Sprawiedliwości? mieć ją będą: prawo rozstrzyga o jego losach.

(*Mancino chce mu odpowiedzieć*, *Guallato ciągnie go za rękę*).

GUALLATO. (*po cichu do Mancina*). Hamuj się, bo wszystkie nasze zamiary ocalenia Guida spełzną na niczem. (*do Rienzego głośno*). Nie do sprawiedliwości, ale do łaski waszej się odwołują. Cała ludność spodziewa się jej po waszej wspaniałomyślności. Uwolnienie Guida spełni wszystkie życzenia obywateli, którzy obecnie są zaniepokojeni i zasmuceni mocno jego uwięzieniem.

RIENZI. Ta rzecz do mnie należy. Spokojni obywatele nie mięszają się w sprawy wychodzące poza obręb ich poznania. Ci, co was posłali tutaj, podszywają się tylko pod miano obywateli i ludu, a w gruncie są wichrzycielami, usiłującymi zakłócić porządek publiczny. Na tych żadnego względu mieć nie mogę.

MANCINO. (*porywczo*) Jakąż więc odpowiedź mamy zanieść ludowi?

RIENZI. Żadnej, nie potrzebuję do tego pośredników i sam potrafię zdać sprawę z moich czynności.

(*Mancino chce odpowiedzieć*,*Gualiato go powstrzymuje*).

GUALLATO. (*do Mancina po cichu*). Miej wzgląd na Guida.

RIENZI. Panowie możecie odejść, bo nie mam czasu na dłuższą rozmowę z nimi.

(*Guallato i Mancino odchodzą*).

RIENZI. (*do Cecca*). Bezrozumni! sądzili, że tym sposobem wymogą co na mnie, a tymczasem sami oni potwierdzili wyrok i przyspieszyli jego wykonanie. (*Siada i podpisuje wyrok, poczem oddaje go Ceccowi*) Weź ten wyrok i każ go wykonać bezzwłocznie, w więzieniu, w cichości.

(*Cecco bierze wyrok i wychodzi z nim w milczeniu, z uśmiechem tryumfu. Rienzi pozostaje siedzący, pogrążony w zamyśleniu; po chwili wpada Paola a za nią wchodzi powolnie Loccio-*

SCENA V.

Rienzi, Paola, Locciolo.

PAOLA. Czy to prawda, że Guido na śmierć skazany?

RIENZI. Prawda.

PAOLA. Ale ty nie potwierdzisz wyroku?

RIENZI. Już potwierdziłem.

PAOLA. To go cofniesz natychmiast?

RIENZI. Nie mogę.

PAOLA. Musisz!

RIENZI. Kto mnie do tego może zmusić?

PAOLA. Kto? nie wiem, ale czuję, że ktoś cię powinien zmusić.—Bóg!—nie! bo ty się go nie boisz; sumienie, także nie, bo ty go nie masz. A więc może ja?

RIENZI. Paolo, tracisz zmysły!

PAOLA. Bodajbym je straciła, a z niemi razem i pamięć i wiedzę wszystkiego, co robisz, (*biorąc go za rękę*) Siadaj i pisz odwołanie.

RIENZI. (*wydzierając swą rękę*). Wybaczam twemu obłędowi, ale idź do siebie. Kobiety nie powinny się mieszać do spraw publicznych.

PAOLA. To ty nazywasz sprawami publicznemi... morderstwo dokonane z zimną krwią na twoim przyjacielu, na twoim dobroczyńcy!

RIENZI. Upamiętaj się!

PAOLA. To tobie należy się upamiętać i cofnąć przed ohydą tej zbrodni, wobec której bratobójstwo jest jeszcze niczem (*chwyta go powtórnie za rękę*). Siadaj i pisz rozkaz uwolnienia Guida.

RIENZI. (*odtrącając ją gwałtownie*). Idź precz, szalona!

(*Paola wpada na krzesło i pozostaje w niemem osłupieniu. Locciolo zbliża się do Rienzego*).

LOCCIOLO. Odtrąciłeś ze wzgardą prośby twojej żony: więc nie mogę się spodziewać, żeby moje słowa mogły co ważyć u ciebie, a jednak muszę rozmówić się z tobą.

RIENZI. Możesz mówić.

LOCCIOLO. Nie potrzebuję na to pozwolenia. Mówię, ponieważ nie mogę już milczeć, a ty—czy chcesz, czy nie chcesz, musisz mnie wysłuchać po raz pierwszy, a może i po raz ostatni. Jestem prosty człowiek i nie umiem, tak jak ty, nadawać myślom swoim kunsztownej formy, władać doborowemi słowami, robić z białego czarne, a z czarnego białe i przekupywać językiem prostoduszne serca; ale za to powiem to, co myślę. Od czasu, gdyś mię kupił obietnicami wielkich dobrodziejstw, które przez ciebie na cały świat miały spłynąć, oddałem ci się cały ciałem i duszą i służyłem wiernie zamiarom twoim, wykonywując, jak ślepe narzędzie, wszystko, co mi rozkazałeś. Ufałem ci bez granic, i chociaż czasem postępki twoje nie wydawały mi się zgodnemi, ani z twojemi słowami, ani ze zwyczajną uczciwością, nie roztrząsałem ich, tylko mówiłem sobie: jestem ciemny i ograniczony człowiek, niezdolny pojąć wzniosłych myśli Rienzego, ale on wie, co robi.

RIENZI. I takeś był powinien dotrwać do końca.

LOCCIOLO. Wolałbym był pozostać ślepym i głuchym, ale nie zawsze można. Z czasem otworzyły mi się oczy i przekonałem się, że wszystkie twoje piękne cele — to blichtr i kłamstwo! i że pod pozorami służenia wielkiej i świętej sprawie służysz tylko widokom swojej nienasyconej dumy i ambicyi.

RIENZI. To nie prawda!

LOCCIOLO. (*nie zważając*). Teraz zaś przekonałem się ostatecznie do czego jesteś zdolnym, i przychodzę ci powiedzieć wręcz, że zamierzasz popełnić wielką podłość.

RIENZI. (*chwytając się za miecz*). Gdyby mi to kto inny powiedział, zginąłby na miejscu!

LOCCIOLO. Gniewu twojego się nie lękam; nie jestem twoim płatnym pochlebcą, a zresztą, jam prosty człowiek, nie umiem słów gładzić i przystrajać.

RIENZI. Wobec kogo innego nie zniżałbym się do usprawiedliwiania moich czynów, ale wobec ciebie, co mi dałeś tyle dowodów poświęcenia, nie chcę uchodzić za gorszego niż jestem. Nie mogę ci dostatecznie teraz wyjaśnić wszystkich pobudek mojego postępowania, ale przysięgam ci, Locciolo, że nie duma i nie ambicya kieruje mojemi krokami, ale inna wyższa myśl mię wiedzie, i że nawet ten mój postępek z Guidonem, który cię zgrozą i oburzeniem przejmuje, jest z mej strony najcięższą i najboleśniejszą ofiarą dla dobra i wielkości kraju.

LOCCIOLO. Dla dobra i wielkości kraju!— Tak się wszyscy tyrani tłómaczą. Uciemiężają, zdradzają, mordują, tępią ogniem i mieczem całe narody, popełniają tysiące okrucieństw i nikczemności: a wszystko dla dobra i wielkości kraju!

RIENZI. Jakże cię przekonać?

LOCCIOLO. Nie staraj się przekonywać, tylko powiedz po raz ostatni: nie odwołasz wyroku na Guida?

RIENZI. (*po chwili milczenia*). Nie mogę.

LOCCIOLO. Nie możesz? więc dobrze. Wtenczas, kiedym wierzył w ciebie, jak w jakiego Boga, przysiągłem dla ciebie żyć i ginąć; teraz czuję się zwolnionym z tej przysięgi. Nie mogę pozostać wspólnikiem twoich zbrodni: więc porzucam cię na zawsze. Inny na mojem miejscu byłby ci łeb pięścią roztrzaskał, i możeby lepiej było. Ja tylko wydrę z mego serca wszelką myśl o tobie i zostawię cię twemu losowi i występkom twoim (*odchodzi powolnym krokiem*).

SCENA VI. i ostatnia.

Rienzi, *Paola* potem *Cecco.*

(*Paola, która w końcu rozmowy z Lokciolem śledziła wyraz twarzy Rienzego, przybliża się do niego*).

PAOLA. Rienzi! Ty jesteś wzruszonym.— Myliłam się sądząc, żeś ty pozbawiony wszelkich ludzkich uczuć. Obraziłam cię słowami: przebacz memu uniesieniu: błagam cię, byłam za gwałtowną, byłam szaloną. O! ty przecież musisz mieć serce w twojem łonie! (*pada przed nim*

na kolana). U nóg twoich włóczyć się będę i żebrać łaski, dopóty, dopóki nie dasz przystępu lepszemu natchnieniu. Bądź miłosiernym! bądź sprawiedliwym, i nie dopuść zguby niewinnego!

RIENZI. Paolo, przestań mię męczyć. Sprzysięgliście się dzisiaj wszyscy wydobyć krzyk bólu z piersi mojej.

PAOLA. A więc daj się ubłagać! Niech ten krzyk bólu będzie zarazem okrzykiem przebaczenia. Zrób to dla mnie. Tak mało miałam dowodów miłości od ciebie. Życie moje tak pełne było goryczy i udręczeń; nie miałeś nigdy względu na mnie; cierpiałam w milczeniu i samotności: a jednak zrób tę jedyną łaskę, a zapomnę o łzach, które wylałam i będę ci błogosławić przez całe życie!

RIENZI (*półgłosem, odwracając się*). To jest najcięższy dzień mojego życia.

PAOLA (*po pauzie, powstając*). Nie chcesz nic zrobić dla mnie? nic? nic? Mniejsza o mnie; może nie jestem godną twej łaski; ale pomyśl kogo na śmierć skazujesz?—Tego, który ci był przyjacielem, bratem, więcej niż bratem nawet, który ci poświęcał wszystko i któremu zawdzięczasz swoje wyniesienie, sławę i wielkość. Przecież ty go musiałeś kochać, chociażbyś miał serce z kamienia—jego co tak szlachetny i czysty i tak wyższy nad wszystkich innych ludzi!

RIENZI. (*goryczą*). Paolo! mówisz o nim

z takiem uniesieniem, jak tylko może mówić kobieta o swoim kochanku.

PAOLA. On moim kochankiem? Nie wierzysz w to, co mówisz.

RIENZI. Nie powiedziałem, że jest twoim kochankiem: żona Rienzego nie może być posądzoną o inną miłość; chciałem tylko wyrazić, że twoja egaltacya przechodzi wszystkie granice.

(*wchodzi Cecco*)

CECCO. Wyrok już wykonany, stosownie do polecenia.

PAOLA. (*zachwiawszy się, półgłosem*). Wyrok już wykonany, zbrodnia dopełniona! Łzy i zaklęcia moje nic już nie pomogą. Żal mój go nie wskrzesi (*z energią*). Dość łez, dość upokorzeń! (*prostując się i zwracając do Rienzego*) Rienzi, popełniłeś st raszną zbrodnię, a ja jej nie mogę pomścić na tobie tak, jakbym chciała; jednak spróbuję cię zranić tam gdzie cię ranić można, to jest w uczuciu twojej dumy i pychy. Mówiłeś przed chwilą, że żona Rienzego nie może być posądzoną o inną miłość. Myliłeś się: jam kochała tego człowieka, któregoś zamordował. Guido nie był moim kochankiem, to prawda, ale dla tego tylko, że on nim być nie chciał. Był zanadto świętym i nieskazitelnym i przeniósł obowiązek honoru i przyjaźni nad głos własnego serca, bo on mnie kochał także. Ale wiedz,

że na jedno jego słowo byłabym z dumą i rozkoszą opuściła ciebie i poszła za nim, choćby na koniec świata. (*Rienzi wzdryga się*). Ha! wzdrygasz się, bledniejesz z gniewu: ugodziłam cię więc nareszcie, nie w serce, którego nie masz ale w pychę i zarozumiałość twoją. Tak, powtarzam, ci, kochałam Guidona tyle, ile dzisiaj ciebie nienawidzę.

RIENZI. (*z uniesieniem*) Milcz!

PAOLA. Nie nakażesz mi dzisiaj milczenia. Ja się urągam i z twojego gniewu i pogardzam twemi groźbami. Zabij mię, jeżeli chcesz: będzie to, mój tryumf nad tobą. Zabiłeś siostrę, zabiłeś przyjaciela: zabijaj i morduj bez końca, póki nie padniesz sam pod ciężarem krwi i przekleństw. Pomiędzy nami wszystko skończone, wszystko, prócz nienawiści (*zrywa obrączkę ślubną z palca i depcze ją*). Patrz, oto zrywam ten pierścień, który pali moją rękę i depczę go pod nogami; uciekam z pod tego dachu, gdzie obecność twoja zaraża jadem powietrze; a na pożegnanie rzucam ci ostatnie przekleństwo. Przeklinam z głębi duszy ciebie i wszystkich, co cię otaczać będą; przeklinam wszystko, co robisz, wszystko, czego się dotkniesz, wszystko, o czem pomyślisz!

(*Biegnie ku drzwiom*).

RIENZI. Gdzie lecisz szalona?!

PAOLA. Chociażby na dnie Tybru szukać sobie schronienia byle ciebie nie widzieć i nie

słyszeć już więcej. Bądź przeklętym, przeklętym, przeklętym!

(*Wypada gwałtownie.*
Chwila milczenia.)

RIENZI. (*ponuro*). Wszyscy mnie opuszczają, wszyscy mnie przeklinają. (*po chwili z energią*). Niech będzie przeklętem moje imię, ale niech stanie moje dzieło!

ZASŁONA SPADA.

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT PIĄTY.

Teatr przedstawia pracownię Rienzego; w głębi sceny drzwi na balkon na ulicę, z prawej główne wejście, a z lewej drzwi, osłonięte kotarą, do sypialni Rienzego. Za odsłonięciem zasłony Cecco i Mancino szepczą po cichu z sobą przy głównem miejscu.

SCENA I.

CECCO. Pst... Zdaje mi się, że się budzi.

MANCINO. A więc się oddalam.

CECCO. Lepiej będzie, żeby nie zwrócić uwagi.

MANCINO. Wszystko tak, jak umówione?

CECCO. Możecie liczyć na mnie; poleciłem straży, żeby na czas odeszła. (*Mancino odchodzi po cichu*).

CECCO. Przecież doczekałem się.

(*Rienzi wchodzi z sypialni*).

SCENA II.

Cecco, Rienzi.

RIENZI. Jesteś, już, Cecco? To dobrze; potrzeba mi było twojej obecności; czuję się dziś zmęczonym, bardzo zmęczonym.

CECCO. Być może wpływ powietrza, które jest wyjątkowo ciężkie i duszne. A zresztą, jeżeli mam prawdę wyznać, od niejakiego czasu zanadto zamykacie się, o, panie, w odosobnieniu, pozbawiając się wszelkich rozrywek i przeciążając pracą i myślami. To może w końcu zrujnować wasze siły.

RIENZI. Właśnie ta ciężka praca, przez którą zbliżam się ku wytkniętemu celowi, jedynie mnie teraz podtrzymuje; a jednak i ta mi nie wystarcza jeszcze. Potrzeba tak leniwo stąpać krok za krokiem, liczyć się z wszystkiemi trudnościami, na miejsce zburzonych planów stawiać inne, wyszukiwać coraz-to nowe środki i wyczekiwać dnie, miesiące, a może lata—gdy ja jednym skokiem chciałbym stanąć u mety, żeby módz powiedzieć: oto dzieło moje dokonane; niech mnie świat i ludzie sądzą teraz! Dawniej miałem więcej cierpliwości i mogłem z zimną krwią myśleć o drodze, którą mi przebiedz potrzeba; dzisiaj nie umiem już czekać: pali mnie nieustanna gorączka pośpiechu, wywołana straszną myślą, że życie mi może nie wy-

starczy do spełnienia wszystkiego, com zamierzył.

CECCO. Jesteście, o, panie! w samej sile wieku, posiadacie hart ciała i duszy, żelazne zdrowie i niezłomną wolę; powinniście więc pokojnie wyglądać przyszłości.

RIENZI. Powinienbym, a jednak nie mogę. Coś się już odmieniło we mnie!—Dotychczas miałem nieograniczoną wiarę w siebie i w swoje posłannictwo, byłem pewny, że zwalczę wszystkie przeszkody i dojdę zwycięsko do kresu; zdawało mi się, że wola moja wystarczy, ażeby zmienić cały porządek świata i że nic jej tamy nie będzie w stanie położyć. Sądziłem się być wyższym nad bieg wypadków i zmienne losów koleje, nad instynkta własnego serca i nad głos sumienia; a jednak teraz czuję wkradającą się do duszy mojej wątpliwość. Nie wiem czy mogą istnieć na świecie ludzie tak całkowicie odlani ze spiżu, że nic nadwerężyć im spokoju, nic ich dotknąć ani osłabić nie zdoła? Sądziłem się być jednym z takich, ale widzę, że już liczyć się do nich nie mogę. Miewam chwile dziwnej, niepojętej przedtem dla mnie, słabości... Czasami zdaje mi się że lepiejby było, gdybym się nie był wcale narodził, lub przynajmniej żył cichy i nieznany, ciesząc się każdym pogodnym dniem życia i nie wybiegając nigdy myślą poza obręb domowego szczęścia.

CECCO. A sława? a wielkość? a upojenia

zaspokojonej dumy? czyż teraz już są niczem dla nienasyconej duszy Rienzego? Myślałem wszakże, iż to są jedyne bożyszcza, którym ona hołdować potrafi, jedyne rozkosze, które odczuć zdoła.

RIENZI. Sława!... wielkość!... duma!... Źle mnie pojmujesz, Cecco, tak jak mnie inni nie pojęli. Gdybym robił to, com robil, jedynie w celu zaspokojenia osobistej dumy, byłbym tylko prostym zbrodniarzem. Ale we mnie tkwiła inna wyższa myśl! Po czystsze i doskonalsze sięgałem rozkosze. Nie wiem, czy ty jesteś w stanie odczuć: co to znaczy módz przywrócić do życia na pół umarłą ojczyznę, tchnąć w nią własnego ducha i przygotować jej przyszłą potęgę; co to znaczy dać niewolnikom wolność, ciemnym światło, słabym siłę, rozdzielonym jedność i spójnię! To są rozkosze, dla których żyłem i poświęcałem wszystko. Ja im zaprzedałem bez wahania siebie i wszystko, co mię otaczało; ale dziś dopiero czuję, jakim kosztem przyszło mi to opłacać. Największy z nędzarzów ma jeszcze serca, na których spocząć może, niewinne uciechy, które podzielić potrafi. A gdy i tego mu braknie, pozostaje mu noc spokojna, po całodziennym znoju. A ja dobrowolnie wszystko to utraciłem i pozostałem sam, opuszczony i znienawidziony przez wszystkich, bez pociechy, bez wypoczynku, zarówno we dnie jak w nocy!

CECCO. Porzućcie, o, panie, te smutne myśli; nie trzeba się nigdy nadto głęboko zastanawiać nad tem, co się czyniło lub czynić zamierza: to niepotrzebnie psuje krew człowiekowi.

RIENZI. I ja tak samo mówiłem dawniej.

CECCO. Widocznie chwilowe nieusposobienie i niewywczas sprowadziły te czarne myśli. Ale to minie.

RIENZI. Masz słuszność, Cecco: to musi minąć. Wszelki żal, jest niewczesnym teraz, wszelka słabość nie do darowania. Potrzebuję więcej niż kiedykolwiek zimnej krwi i energii, ażeby dokonać tego, com rozpoczął. Dziś nie pozostaje mi nic. jak tylko wytrwać do końca i zwyciężyć; tylko bowiem pomyślny skutek może mnie rozgrzeszyć i okupić. Ale jeżeli nie dojdę,—biada mi!

CECCO. Odkądże to Rienzi zaczął wątpić o sobie?

RIENZI. Powiedziałem ci, że się coś odmieniło we mnie, i że potrzebuję całej mocy, aby się oprzeć przygniatającemu mnie ciężarowi. A przytem dziś wyjątkowo jestem jeszcze pod wrażeniem dziwnego snu. Całą noc spędziłem na pracy, więc oto teraz niedawno, zmęczony, położyłem się na chwilę. I zdawało mi się, że nie śpię wcale; lecz patrzę na niebo, a na niebie pokazał się księżyc czerwony i krwawy... (*zbliża się do okna na balkon i otwiera*) patrz, Cecco,

tak, jak teraz... a potem zjawił się Guido, blady i smutny, tak, jak go widziałem poraz ostatni, spojrzał z litością na mnie i wyciągnął rękę, mówiąc: "Chodź, Rienzi, czekam cię." Przebudziłem się wtedy...

CECCO (*usilując pokryć zmięszanie śmiechem*). Ha! ha! ha! Wartoż to sobie głowę zaprzątać marnym snem! To dobre dla kobiet, które wierzą w podobne glupstwa i wróżą z nich sobie niestworzone rzeczy. Jeżeli nie macie innych trosk na głowie, to możecie śmiać się z tego tak, jak ja.

RIENZI. Nie śmiej się tak, Cecco! Twój śmiech jest mi przykrym. Kto z nas może ostatecznie powiedzieć, co jest głupstwem, a co jest mądrością? Z wielu rzeczy śmiejemy się dlatego tylko, że nic o nich nie wiemy. Ale dajmy temu pokój. Gianni Guccio ma tu przybyć za chwilę: nie powinien mnie zastać wzruszonym. Czy wygotowałeś memoryał do cesarza Karola, wyświecający prawa Guccia do tronu francuskiego?

CECCO. (*zbliżając się do stołu*) Oto jest, wykończony zupełnie.

RIENZI. Trzeba go wysłać jak najśpieszniej do Pragi wraz z tym własnoręcznym moim listem, tylko wybrać najpewniejszego posłańca.

CECCO. Zajmę się tem natychmiast.

RIENZI. Spodziewam się, że cesarz niemiecki nie omieszka podać ręki memu protego-

wanemu, bo i sam na tem będzie mógł coś zarobić.

CECCO. Najszczęśliwszym będzie ze zdarzonej sposobności wmięszania się do spraw cudzych.

RIENZI. A jeżeli mi się uda osadzić Guccia na tronie francuskim, zamiary moje będą tak jak spełnione.

(*Wchodzi jeden ze straży*)

ZBROJNY (*meldując*). Gianni Guccio.

RIENZI. Wprowadzić go natychmiast.

(*Straż odchodzi i wprowadza Gianni Guccia*).

SCENA III.

Rienzi, Cecco, Gianni Guccio.

RIENZI. Witam prawowitego władcę Francyi.

GUCCIO. Macież więc, senatorze, zupełne przeświadczenie o mojem królewskiem pochodzeniu?

RIENZI. Niema cienia wątpliwości. Jesteście prawym synem Ludwika Dziesiątego. Zeznanie waszej przybranej matki o nastąpionej zamianie ciebie, syna królowej, z jej własnym synem, jasno to wykazuje. Nic nie braknie w łańcuchu niezbitych dowodów. Możecie więc z czystem sumieniem upomnieć się o wasze prawa.

GUCCIO. Przyzwyczaiłem się do mego cichego życia i czuję, że byłbym szczęśliwszym, gdybym i nadal pozostał w ukryciu; lecz ponieważ prawa nasze, jak mi to sami mówiliście, wkładają na nas obowiązki, przed któremi cofać się nie wolno, gotów jestem poświęcić im moje życie.

RIENZI. O, tak, koniecznie. Pomyślcie tylko, ile dobrego możecie zdziałać na stanowisku, które wam przynależy! Możecie uszczęśliwić lud swój, wpłynąć na bieg wypadków, odegrać opatrznościową rolę w dziejach świata, podając rękę nieszczęśliwym i uciemiężonym. Jako władca wielkiego narodu będziecie mogli podejmować śmiało przedsięwzięcia nieprzystępne dla innych.

GUCCIO. Czuję to wszystko, co mówicie, lecz nie wiem czy będę w stanie podołać tak wielkim zadaniom.

RIENZI. Nie trzeba nigdy wątpić o sobie, ani o spełnieniu swych zamiarów, pewność bowiem tylko robi nas niezwyciężonymi. Przytem liczyć zawsze możecie na radę i poparcie moje. Drogę do tronu francuskiego utorowałem wam, o ile tylko było w mojej mocy. Większość kardynałów w Avignonie usposobiłem przyjaźnie dla was i stolica święta udzieli wam wszelkiej pomocy. Traktuję również z cesarzem Karolem w waszej sprawie i nie wątpię o pomyślnym skutku. (*wyjmuje list*). Tutaj zaś macie list

do kardynała d'Albornoz, który się obecnie znajduje w Montefiascone; dostarczy on wam pieniędzy i żołnierzy.

GUCCIO. (*biorąc list*) Ileż wam wdzięczności będę winien i czemże się potrafię odpłacić?

RIENZI. Nie mówcie o wdzięczności?! Odpłacicie mi się dostatecznie, gdy, osiągnąwszy koronę i utrwaliwszy swoją władzę, dostarczycie mi, jak to już umówionem przez nas zostało, potrzebną ilość rycerstwa dla zagarnięcia wszystkich włoskich krain i utworzenia z nich jednego wielkiego państwa. Wszakże mi dochowacie swoich zobowiązań?

GUCCIO. Przysięgam na to najuroczyściej. Pierwszem mojem staraniem będzie oddać wam do rozporządzenia wszystkie środki, jakie tylko odnaleźć potrafię.

RIENZI. Polegam na waszem królewskiem słowie. Pomoc wasza jest mi niezbędną. Pozostawiony sam sobie, nie byłbym w stanie doprowadzić do skutku wszystkich moich zamiarów; nie mogę bowiem liczyć na poparcie moich współobywateli. Niewdzięczni i bezrozumni, pragną wolności, porządku, sławy i wielkości kraju, ale mimo to nie chcą ponieść najmniejszej ofiary. Każde usiłowanie moje wywołałoby opór z ich strony.

GUCCIO. Tak, byłoby to niebezpiecznem teraz. Sam spostrzegłem niejakie wzburzenie w ludności.

CECCO. Lud szemrze zawsze: to jego zwyczaj, jemu nikt nie dogodzi.

RIENZI. Na razie musiałem się powstrzymać, ale za to przy współudziale przyszłego króla Francyi, zestrzeliwszy w jedno ognisko wszystkie rozprószone siły narodu, spodziewam się wytworzyć potęgę, której nic potem nie obali. Włochy w przymierzu z Francyą potrafią odeprzeć raz na zawsze, zarówno zachcianki papieży, jak i cesarzy niemieckich i usamowolnienie z pod obcych a wrogich wpływów, dopełnić wszystkich warunków całkowitego odrodzenia!

GUCCIO. Wielkim jest człowiekiem, Rienzi.

RIENZI. Dotychczas—nie! Ale chciałbym zrobić coś dobrego dla mojej ojczyzny. Jeżeli mi się nie uda, urągać się będą tylko mojej pamięci.

GUCCIO. Nie powinniście tak myśleć.

RIENZI. Wiem, że tak bywa! Ale nie traćmy czasu. Jesteście gotowi do drogi?

GUCCIO. Najzupełniej.

RIENZI. A więc bez żadnej zwłoki spieszcie do Montesfiascone wprost do kardynała d'Albornoz. Dla bezpieczeństwa waszego weźmiecie z zamku Ś-go Anioła oddział mojej milicyi, który aż na miejsce was odprowadzi. (*do Cecca*) Gdzie rozkaz dla dowódzcy?

CECCO (*podając*). Oto jest.

GUCCIO. Jakto? chcecie się jeszcze dla mnie ogołocić z siły zbrojnej, gdy sami możecie

jej potrzebować przy obecnem usposobieniu umysłów?—Nie mogę na to przystać.

RIENZI. Tak być musi. Wasze bezpieczeństwo jest mi droższem nad wszystko. Na was polega cała przyszłość moja. Ja sobie po trafię dać radę. Dziś jeszcze wszystkie obawy są płonne. Nic mi nie grozi stanowczo. (*Guccio chce mówić*) Ani słowa więcej w tym względzie. Pospieszajcie tylko na miłość Boga! i działajcie szybko i energicznie. Będę oczekiwać niecierpliwie wiadomości z Francyi od waszej królewskiej mości.

GUCCIO (*odchodząc*). Żegnajcie, senatorze, spełnię wszystko, co będzie w mojej mocy.

(*odchodzi*).

RIENZI. Teraz mogę być spokojniejszym; obmyśliłem i przygotowałem całą walkę. Chwila tryumfu się zbliża. Guccio musi osiągnąć koronę i przysłać mi swoje wojsko—a wtedy... wtedy...

(*wbiega Locciolo*).

SCENA IV.

Rienzi, *Cecco*, *Locciolo*.

LOCCIOLO (*wbiegając głośno*). Rienzi!

RIENZI. Przyszedłeś na koniec, Locciolo—o, jak to dobrze!—Spodziewałem się, że mi przebaczysz. Podaj mi dłoń swoją na zgodę.

LOCCIOLO. Rękę mojej ci nie podam, bo twoja jest splamiona krwią niewinną. Nie przyszedłem ci przebaczyć, przyszedłem tylko zginąć za ciebie lub z tobą.

RIENZI. Co mówisz? nie mogę zrozumieć, wytłómacz się.

LOCCIOLO. Rzecz bardzo prosta, tłum rozjuszony biegnie tu prosto do twojego domu, ażeby cię zamordować. Zaledwie zdołałem go wyprzedzić. Za chwilę będzie tutaj.

CECCO. Czyż to podobna?—Musicie się mylić.

LOCCIOLO. Mówię co widziałem na własne oczy.

RIENZI. Ja nie mogę, ja nie powinienem ginąć teraz.

LOCCIOLO. Lękasz się śmierci?

RIENZI. Jakże nizko upadłem w twych oczach, że mnie posądzasz o nikczemną trwogę! Tu nie o mnie chodzi, ale o moją myśl, która umrze ze mną razem. Ginąć teraz w tej chwili, gdy przygotowałem wszystko do przeprowadzenia olbrzymich zamiarów, to nazbyt okropnie. Nie! nie chcę, nie mogę ginąć. Trzeba będzie posłać kogo po zbrojne posiłki. (*idzie ku drzwiom wołając*) Hola! straż i ludzie moi, chodźcie!

LOCCIOLO. Nie zastałem nikogo w bramie ani w sieniach, sam tylko zatarasowałem wejście.

RIENZI. Jakto? to być nie może? (*wypada przez drzwi na prawo*).

LOCCIOLO. Zdaje się, że już niema dla niego ratunku. (*do Cecca*). A ty, Cecco, czy nie myślisz uchodzić?

CECCO. Ja dotrwam do końca.

LOCCIOLO. Nie posądzałem cię o taką wierność.

(*Rienzi powraca przez drzwi do sypialni*).

RIENZI. Niema żywej duszy. Jestem opuszczony! zdradzony! (*po chwili*) Trzeba się więc ratować ucieczką.

(*słychać zbliżające się wrzaski*).

LOCCIOLO. Już zapóźno! Słyszysz te krzyki? Nadbiegają.

CECCO. Będziemy się bronić tutaj.

LOCCIOLO. Za wielu ich jest; wywalą bramy toporami, a zresztą mają pochodnie.

(*za sceną słychać wrzaski. "Niech ginie zdrajca" i łoskot, jakby uderzeń w bramę*).

RIENZI. Czyż niema jakiego sposobu?

LOCCIOLO. Przebić się z bronią przez nich nieozdobna.

(*słychać wznowiony łoskot*).

RIENZI. Usiłują rozbić bramę.

CECCO. Tak się zdaje.

RIENZI. Spróbuję czy się nie uda ich uspokoić przemówię do nich.

CECCO. To napróżno.

RIENZI. Zobaczymy! (*otwiera drzwi na balkon i wchodząc nań zaczyna mówić*) "Rzymianie, pozwólcie mi choć słów kilka"... (*sykanie, wrzask, głuszą jego mowę; wpadają kamienie; Rienzi chwyta się za głowę i powraca skrwawiony na czole. Do Locciola (z rozpaczą)* Nie pozwolą mi przyjść do słowa.

LOCCIOLO. (*wyglądając przez okno*). Brama trzyma się jeszcze jako tako: mamy kilka chwil czasu, możemy się spokojnie namyśleć co zrobić?

CECCO. Nie na wiele się ten namysł przyda.

RIENZI. Nie pozostaje nic, jak drogo sprzedać swoje życie.

(*słychać za sceną: "Podpalić dom, spalić żywcem tyrana w jego przeklętem gnieździe*)".

CECCO. I tej pociechy nam nie dadzą, chcą nas usmażyć.

LOCCIOLO. (*do Rienzego*). Czy niema drugiego wyjścia z domu?

RIENZI. Jest, ale cóż z tego, kiedy także na widoku, niedaleko głównej bramy! Nie sposób wyjść, nie będąc spostrzeżonym.

LOCCIOLO. A więc jest jeszcze dla ciebie możność ocalenia.

RIENZI. Jest możność ocalenia? gdzie ją widzisz? każdy środek będzie mi dobrym; potrzebuję żyć... żyć koniecznie.

LOCCIOLO. Zdejm swoje szaty i daj mi je,

RIENZI. Co chcesz czynić?

LOCCIOLO. Włożę je na siebie i z twoim mieczem w ręku wypadnę przez bramę na tłum. Wezmą mnie za ciebie i tym sposobem odciągnę całą ich uwagę, postaram się dać im dużo do roboty .Ty tymczasem musisz się przebrać i wymknąć niepostrzeżenie drugiem wyjściem.

RIENZI. Nie mogę przyjąć twojej ofiary.

LOCCIOLO. Byłoby to nierozsądkiem z twej strony: wszak, czy tak, czy inaczej, muszę zginąć za ciebie, bom to sobie postanowił, a zawsze będzie i to dla mnie przyjemniejszy rodzaj śmierci, aniżeli dusić się tutaj w dymie i ogniu.

CECCO. Locciolo ma słuszność: powinniście go usłuchać.

RIENZI. A więc dobrze, skorzystam z twego poświęcenia, wystawię cię na śmierć niechybną. Pomyślisz, żem nikczemny: o i to zniosę: nie mam dziś wyboru, muszę się ratować do końca.

LOCCIOLO. A więc nie trać czasu, tylko przywdziej inne szaty.

(*Rienzi zdejmuje zbroję i daje mu, poczem idzie do kryjówki, którą otwiera, wyjmując z niej suknię zakonną z kapturem*).

RIENZI. Mam tu ubiór eremity, który mię zasłonił przed światem niegdyś na pustelni. Niechże mi służy i teraz (*przywdziewa go*).

(*słychać wznowiony łoskot za sceną*).

LOCCIOLO. (*przybrawszy ubiór Rienzego*). Że-

gnaj, Rienzi! Idę rozmówić się z tymi panami, bo coś się bardzo niecierpliwią.

RIENZI. Idziesz, idziesz już.... a ja nie czuję się nawet godnym złożyć ci ostatnie pożegnanie (*zasłania twarz rękami*).

(*Locciolo wychodzi na prawo przez drzwi główne. Rienzi stoi przez chwilę w zamyśleniu, potem zwracając się do Cecca*).

Ty, Cecco, musisz tu pozostać jeszcze przez chwilę; we dwóch trudno-by nam bylo wyjść bez zwrócenia uwagi.

CECCO. Mogę zaczekać; mnie się nie spieszy. Życzę wam szczęścia.

(*Rienzi wychodzi przez drzwi na lewo.*)

SCENA V.

Cecco sam.

CECCO. Słychać szczęk. (*idzie do okna otwiera je i patrzy przez nie*). To Locciolo już się uwija z nimi. Dobrze, że sam wpadł na myśl wycieczki, bo inaczej mógłby mi być zawadą tutaj. Lecz teraz można być spokojnym: nie wróci żywym. (*patrząc się przez okno*). Ależ rąbie! co za siła ! Nie mogą mu dać rady, choć ich tylu; gotów się przedrzeć przez tłum. A nie! nareszcie go ugodzono, pada zabity. Trzeba im dać znać teraz o Rienzim (*wychyla się przez okno i woła*). To nie był Rienzi, któregoście zabili, to był Locciolo. Rienzi uchodzi drugiem

wyjściem w ubiorze zakonnika. Schwytajcie go i przyprowadźcie tutaj! (*powraca na środek sceny*). Teraz będę pomszczony tak, jak marzyłem o tem. Zadziwi się, poznawszy, że moja ręka pchała go nieustannie do zguby. Myślał, że się potrafi ustrzedz przeznaczenia; ale mnie się nie ustrzegł, zaślepiony. Zamordował Guida, chcąc się zabezpieczyć, (*śmieje się*). ha! ha! ha! i nie wiedział, że sobie grób własnemi rękami wykopał. (*słychać stąpanie i gwar przybliżający się*).

Już go prowadzą; słychać ich zdaleka (*wpada tłum uzbrojony. Rienzegò trzyma i prowadzi dwóch z ludu, tuż za Rienzim Guallato i Mancino*).

SCENA VI.

Rienzi, *Cecco*, *Mancino*, *Guallato* i tłum uzbrojonych.

MANCINO. (*do Rienzego*) Nie jesteś Rienzim powiadasz? nie jesteś? Zaraz to zobaczymy.

RIENZI. Dość tej niegodnej komedyi. Tak, jestem Rienzim. Czego chcecie odemnie? (*odtrąca tych, co go trzymali, zrzuca kaptur i suknię zakonną*)

MANCINO. Chcemy twojego życia, zbrodniarzu!

RIENZI. To wy jesteście zbrodniarzami, wpadacie nocą, zdradziecko, uzbrojeni, całym tłumem na jednego bezbronnego człowieka! Nikczemnicy!

GUALLATO. Przychodzimy cię ukarać, jakeś na to zasłużył.

MANCINO. Pomścić się śmierci Guida!

RIENZI. Nie do was należy sąd nad mojemi czynnościami. Nie jesteście sędziami mojemi, jesteście prostymi mordercami, niczem więcej. Jakiekolwiek były moje postępki, wy nie możecie zdać sobie sprawy z przyczyn, co je wywołały. Poświęciłem całe swoje życie sprawie ludu i usiłowałem zabezpieczyć jej przyszłość. Na przededniu dokonania wielkich przeobrażeń i utrwalenia potęgi i jedności ojczyzny przychodzicie zniweczyć moją pracę. Zbrodnia wasza zgubi wszystko bezpowrotnie i wyda na nowo kraj anarchii, lud—ciemności i uciemiężeniu, a późne wieki złorzeczyć wam będą—pamiętajcie! (*tłum stoi onieśmielony tak samo Mancino i Guallato, Rienzi, widząc ogólne wrażenie, ciągnie dalej*). Wstrzymajcie się, póki czas jeszcze! nie hańbcie imienia Rzymian, nie narzucajcie ludowi krwawej plamy, która mu na zawsze w historyi pozostanie, pozwólcie mi dokończyć, com rozpoczął a sąd nademną zostawcie Bogu! (*wszyscy stoją pod wrażeniem prócz Cecca*).

CECCO. Cóż to? Stoicie jak wryci? dajecie się uwieść słowom tego człowieka? Tchórze jesteście! Nie zapominajcie, że, jeżeli puścicie go żywym, niezadługo spadną wam z karków wasze puste głowy.

RIENZI (*z boleścią*). To ty, Cecco, któremu tyle ufałem, nastajesz głównie na śmierć moją?

CECCO. Tak! ja. Myślałeś może, żem ci przebaczył twoje wiarołomstwo, zdeptanie wszy-

stkich moich uczuć, stratę Bianki? — Myślałeś, że jej śmierć zostanie zapomnianą, i niepomszczoną na tobie? Szalony! w pierwszej chwili przysiągłem ci zemstę, ale oczekiwałem na taki dzień jak dzisiaj, gdy, znienawidzony przez wszystkich, obciążony bezużytecznemi zbrodniami, nic nie dokonawszy, musisz ginąć z ręki tego samego udu, co cię wyniósł i iść w grób z rozpaczą w duszy, upokorzony, splamiony, zniweczony!

RIENZI. Jestem już gotów ginąć, ale nie zdołasz wydobyć ze mnie trwogi i upokorzenia (*odkrywa pierś*). Oto są piersi moje: uderzecie!

(*wszyscy stoją nieruchomo, chwila milczenia*).

CECCO. Co? Nikt z was nie śmie uderzyć pierwszy tego człowieka? a więc ja muszę dać wam przykład! Moja ręka nie zadrży (*rzuca się ze sztyletem na Rienzego i przebija go*). (*Rienzi ugodzony, chwieje się i przyklęka na jedno kolano*).

RIENZI. (*słabnącym głosem*) Umieram, nic nie zdziaławszy. W gruzy się rozsypują dumne marzenia moje i nie pozostanie po mnie nic, jak tylko pamięć wielkich zamiarów i wielkich przewinień. Ale być może, iż myśl moja przetrwa wieki i że to wielkie dzieło zjednoczenia rozdartych części mojej ojczyzny, inne czystsze ręce podejmą i przeprowadzą.

(*Cecco a za nim tłum rzuca się na niego*).

ZASŁONA SPADA.

KONIEC AKTU PIATEGO I OSTATNIEGO.